ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 listopada 1937 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
35 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka • — •

JAN KOTT

STRAŻACY I PISARZE

Z porównania ewangelji i regulaminu warszawskiego oddziału straży ogniowej wynika, że ścisłe przestrzeganie zasad pisma świętego nie wystarcza jeszcze do należytego spełniania obowiązków strażackich. Znamienity misjonarz i kaznodzieja włoski, św. Alfons Liguori, twierdzi bowiem w swej „Teologji moralnej“, do dziś dnia otaczanej czcią wielką, w tomie pierwszym na str. 477, że w zasadzie nie jest dozwolone cenić bardziej życie bliźniego swego nad własne; wyjątki ów święty mąż dopuszcza jedynie wobec osób zasłużonych dla społeczności, *„a qua multum pendent“*. Tymczasem zwykły strażak narażać musi i poświęcać życie dla bardzo pospolitych śmiertelników, tem tylko wyróżniających się pośród ogółu, że grozi im spalenie się żywcem w płonącym budynku. Drobny ten przykład może być punktem zaczepienia szerokich rozważań. Z faktu bowiem, że ktoś jest strażakiem, wynika przecież nie tylko obowiązek posłuszeństwa wobec regulaminu, ale w sferze etycznej szereg moralnych obowiązków, powinności szczególnych, które innych nie wiążą. Możemy to sformułować jeszcze inaczej: przynależność do straży ogniowej implikuje, użyjmy modnego słowa, określoną hierarchję wartości, narzuca jej członkom własną etykę zawodową.

A jednak, gdyby kongres międzynarodowy strażaków ogłosił manifest, protestujący przeciw okrucieństwom międzynarodowego faszyzmu, przeciwko apologji gwałtu, nienawiści i wyzysku, z wielu stron (rzecz jasna, że niesłusznie) posypałyby się gromy oburzenia. Natomiast podobny protest, podpisany przez członków Pen - Clubu uznają wszyscy za fakt zrozumiały i w pełni usprawiedliwiony, wszyscy — poza jednym Łaszowskim i paroma młodzikami z b. ONR-u. Dlaczego? Do strażaków, protestujących przeciwko barbarzyństwu, powiedziano by mniej więcej tak: Panowie, jesteście od gaszenia pożarów i ewentualnie poświęcania dla nas swego życia, ale to bynajmniej was nie upoważnia do ogłaszania manifestu w sprawach, które was bezpośrednio (okazuje się dopiero potem, jak bardzo nawet) nie dotyczą. Wasze zdanie nas nie interesuje. Ogłaszanie protestów należy do intelektualistów, należy w pierwszym rzędzie do pisarzy.

Czy naprawdę należy do pisarzy? Właściwie trzeba inaczej zapytać: czy *specjalnie* należy do pisarzy, czy obowiązkiem pisarzy jest protestować? Spróbujmy pozbyć się na chwilę tradycyjnych nawyków myślowych. Zagadnienie jest warte dyskusji, a w tej formie nie było dotąd postawione. Czy już z samego faktu pisania wynikają jakieś obowiązki etyczne, czy istnieje coś takiego, jak etyka zawodowa pisarzy i jak daleko sięga ona w życie? Zrobimy naprzód parę zastrzeżeń, aby nie narazić się na nieporozumienia. Chodzi nam o ową wzmożoną etyczną odpowiedzialność pisarza, a nie o szereg powinności, które narzuca przynależność do określonego obozu politycznego, wyznawanie pewnych przekonań. Pisarz, antysemita i nacjonalista, może w pewnych wypadkach osobiście wziąć udział w biciu żydów, ale sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, kiedy taki pan pójdzie do innych pisarzy i powie: Piszecie, zobowiązuje was to nie tylko do dostarczania bliźnim przedmiotów rozkoszy artystycznej, do doskonałości rzemiosła, musicie jeszcze bronić potęgi naszego państwa i walczyć o czystość rasy.

Pisarze na kongresie Pen - Clubu, podpisując protest przeciwko zduszeniu wolności słowa i druku oraz spodleniu człowieka w państwach totalistycznych, występowali przecież nie jako antyfaszyści, ale *jako pisarze*, i w tem kryje się istota zagadnienia. Wystąpienie Sieroszewskiego w obronie Berezy wywołało oburzenie znacznej części opinji publicznej, nie tem, że dawny zesłaniec broni współczesnej katorgi, ale że mu jako *reprezentantowi literatury* nie wolno było chwalić Berezy.

Wynikałoby stąd, że w przekonaniu wielu ludzi pojęcie literatury, tak jak parę tysięcy lat temu łączyło się z wyobrażeniem wiedzy tajemnej i magji, dającej poznanie i władzę nad światem, tak obecnie kojarzy się z pewnem szczególnem poznaniem moralnem, dającem prawo i narzucającem obowiązek sądu i oceny spraw ludzkich. Pisarz w takiem ujęciu staje się katechetą laickim wszystkich wyznań, uniwersalnym „specem“ od spraw moralnych. Pisarze, podpisujący deklaracje i protesty, odwołują się, mam wrażenie, do owego mitu, przypisującego literaturze romantyczny rząd dusz. I chociaż w ów rząd dusz. w moc słowa drukowanego wierzą bezwzględnie tylko ministrowie propagandy i cenzorzy, zagadnienie nie traci na znaczeniu, chodzi przecież nie tyle o fakty, ile o prawa moralne, o *„sollen“ — powinność*.

I tu zaczynają się największe trudności. Jak przebrnąć przez zaczarowany krąg wyznawców: społeczników i estetów, wyzwolić się z wiary i znaleźć teoretyczne oparcie dla sądu. Sprawa przedstawia się smutno, ale bynajmniej nie beznadziejnie. Trzeba sięgnąć do jakiejś filozofji wartości, ale rzecz cała w tem, do jakiej.

Etyka katolicka potrafi nam odpowiedzieć tylko na takie pytanie: Jakie są obowiązki pisarza jako katolika, a nam przecież chodzi o jego obowiązki *jako pisarza*. Są to dwie sprawy różne i sprzeczne. Jeszcze bardziej żałosne rezultaty otrzymamy na gruncie naturalistycznych teoryj kultury, jak pozytywizm, pragmatyzm czy freudyzm. Jeśli bowiem przejmiemy się dosłownie receptą James'a na szczęście i uznamy za dobre to, co jest korzystne biologicznie, powinniśmy do jury nagród literackich prosić wyłącznie przyrodników. Pacjentowi dałoby się do przeczytania „Zmory“, a potem badanoby dokładnie jego ciśnienie, pracę serca i żołądek. Po szeregu lat badań laboratoryjnych obowiązki pisarzy byłyby określone — optimum biologiczne działania literatury znalezione. Żart ten nie jest zresztą nieprawdopodobny; entuzjaści zdrowej literatury rządzą się niewiele odmiennemi kryterjami, a problematyka moralna światopoglądów naturalistycznych nigdy nie przekracza granic laboratorjum przyrodniczego.

Bardziej skomplikowanie przedstawia się sprawa w marxizmie. Z samego faktu, nawet gdyby był bezsporny, klasowego charakteru literatury nie wynika bezpośrednio żaden sąd wartościujący. Analiza socjologiczna roli pisarza w społeczeństwie wyjaśnia, tłumaczy, demaskuje, pozwala stwierdzić — jak jest, ale nigdy — jak być powinno. Cała powaga wiedzy historycznej nie wystarcza, aby zbudować najprostszy sąd etyczny. Chyba że wskrzesi się naiwny mit racjonalistów i uwierzy w automatyczny postęp, ale wtedy staje się na nowo aktualne pytanie De Mana — czy w socjalizmie niema już nic dobrego ponad to, że jest zgodny z czasem.

Spróbujmy podejść do naszego zagadnienia trochę z innej strony. Zamiast błąkać się po bezdrożach wielkich systemów filozoficznych, zastanówmy się, czy z samej struktury literatury nie wynikają pewne schematy wartościowania. Rzecz w tem, że wynikają, że literatura narzuca, podobnie jak nauka, autonomiczną hierarchję wartości, własne pojęcie „grzechu“ i „cnoty“. „Cnota“ nauki łatwiejsza jest do zdefinjowania; wytwory działalności poznawczej wartościujemy zapomocą nietrudnego do uściślenia (formalnego) pojęcia prawdy naukowej. „Cnota“ w literaturze nie jest pojęciem jednoznacznem, system odniesień sądów literackich nie może być nigdy w całości zbudowany, korzenie jego tkwią w normatywnej poetyce, a charakter przybiera zawsze znamię indywidualne. Dla nas jednak tylko jedno jest ważne: odrębność grzechu i cnoty w literaturze od grzechu i cnoty działalności praktycznej. Niezależność etyki literackiej wynika z pojęcia literatury, zupełnie tak samo, jak racjonalizm wynika z uświadomienia sobie struktury nauki. Nauka dąży do prawdy, ponieważ jest nauką, etyka literacka *(nie literatura!)* jest niezależna, ponieważ jest literacka. Nie jest to czysta tautologja. Wnioski są jasne i jakże dziś aktualne. Działalności literackiej i naukowej nie można mierzyć wyłącznie pożytkiem społecznym; żadnemu ministrowi propagandy lub komisarzowi oświaty nie wolno, opierając się na pojęciu dobra narodu, mocarstwowości, czystości rasy czy dobra klasy, wyrokować, komu z uczonych czy pisarzy przyznać należy nagrodę, a czyje dzieła spalić na stosie i autora ich zamknąć w obozie koncentracyjnym.

I oto teraz możemy już przystąpić do formułowania powinności moralnych pisarza. Pisarz *jako pisarz* obowiązany jest bronić niezależności literatury, wolności słowa i druku. Pisarz *jako pisarz* obowiązany jest walczyć z takim ustrojem, w którym literatura i nauka muszą dopiero usprawiedliwiać swoje istnienie, w którym pisarze i uczeni muszą legitymować się zasługami społecznemi, dostarczaniem wzorów gazów trujących dla wojska i pieśni krzepiących serca, dla ludności. Jeżeli totalizm z istoty swej jest antykulturalny, to nie dlatego, że odbiera ludziom wolność, a nie daje chleba, ale ponieważ wprowadza jednolitą hierarchję wartości, ponieważ miarą grzechu i cnoty społecznej mierzy wartość literatury i nauki.

Nie wolno jednak zapominać o tem, że chociaż obrona kultury pokrywa się w większości państw z walką przeciwko nacjonalizmowi i faszyzmowi, nie jest ona tem samem. Na różnicę tę ślepi są i głusi pisarze sowieccy. Dla nich także sztuka i nauka jest służącą, która zmieniać może tylko panów, którym usługuje. Ideologja służby integralnemu narodowi i ideologja służby państwu sowieckiemu są identycznem sprzeniewierzeniem się etyce zawodowej pisarzy, zdradą literatury.

Sygn. VI. 1. Pr. 191/37. Wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia niejawnego. Sąd Okręgowy Wydział VI. karny we Lwowie w składzie: Wiceprezes S. O. Ł. Malicki, Sędziowie S. O.: J. Niementowski i Dr. J. Locker, w sprawie konfiskaty Nr. 34 czasopisma pt.: „Sygnały“ z daty Lwów, dnia 1 października 1937 r., do Sygn. VI. 1. Pr. 191/37 — na posiedzeniu niejawnem w dniu 5 października 1937 r., po wysłuchaniu zdania Sądu okręgowego we Lwowie, postanowia: uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 29 września 1937 r., przez Starostwo grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma pt.: „Sygnały“ Nr. 34 z daty Lwów, dnia 1 października 1937 r., zawierającego w artykule pt.: „Lisków nieaktualny“, w ustępie od słów: „Strzaskany pastorał“ — do słowa: „kontrofenzywa“, znamiona występku z art. 154. § 1 i 170 k. k. — zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie.

Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ust. druk. z dnia 17 grudnia 1862, Dz. p. p. Nr. 6 ex 1863, tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych.

Uzasadnienie.

Ogłoszenie drukiem wymienionego wyżej artykułu ma na celu pochwalanie przestępstw. popełnionych we wrześniu 1937 r., na terenie Małopolski przez masy włościańskie oraz szerzenie nieprawdziwych wiadomości o przebiegu, wyniku i znaczeniu strajku chłopskiego, mogących wywołać niepokój publiczny.

Według §§ 487, 489, 493 p. k. oraz §§ 36 i 37 ustawy prasowej jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione.

Przewodniczący: Ł. Malicki wr. Protokólant: Bauer wr.

MIECZYSŁAW BIBROWSKI

TARGOWICA

Słowo „Targowica“ wywołuje obraz ludzi wprowadzających rozmyślnie obcą armję do własnego kraju, wskutek czego kraj ten traci niepodległość. Niesłusznie jednak potworność tego obrazu przesłania sobą wszelkie ludzkie i logiczne pobudki działania jego bohaterów, wskutek czego urastają oni w naszej wyobraźni do miary demonów, kierujących się racjami nie ludzkiemi a demonicznemi.

Tymczasem nawiązanie przez wodzów Targowicy porozumień z Katarzyną było tylko zrozumiałą konsekwencją ich procesu myślowego, który wyrósł z dwóch faktów prawie równoczesnych: reformy Trzeciego Maja w Polsce i rewolucji we Francji.

Że konstytucja 3 maja i jej ustawodawstwo nie dawały chłopom prawie nic, a mieszczaństwo wyposażały miernie, że tworzyły raczej tylko pozór niż rzeczywistą zmianę — pisano o tem dostatecznie wiele. Ale jej twórcy wychowywali się na bojowej literaturze Francji przedrewolucyjnej, a ustawodawstwo konstytucyjne, uchwalane pod akompanjament grzmotów Rewolucji i działalności prawodawczej Konwentu jakobińskiego, stanowiło widomy znak ideologicznego wyłomu. przez który wdzierały się dźwięki zwycięskiej Karmanjoli. To wystarczyło.

Inicjatorzy Targowicy pragnęli bronić swoich przywilejów politycznych i gospodarczych przed widmem dalszych reform, któreby mogły ugodzić w podstawę ich siły i znaczenia: w nienaruszalność ich latyfundjów, w niewolę chłopa, w całkowitą zależność od nich mieszczaństwa i ciemnej masy zdeklasowanej szlachty.

Zwracali się do Katarzyny, być może, z ciężkiem sercem, na kogo jednak mieli liczyć? Na chłopstwo? Na mieszczaństwo? Nawet poparcie ciemnej masy drobnoszlacheckiej, z trudem już tylko trzymającej się swoich skrawków ziemi, mało się różniącej od wolnego chłopstwa, nie wydawało się dosyć pewne, chociaż dotąd karmienie jej zdumiewająco próżnej głupoty fikcją „równości“ szlacheckiej pozwalało ciągle jeszcze na utrzymywanie faktycznej i głębokiej nierówności. Można było być wprawdzie pewnym zupełnego oddania kleru z jezuitami na czele, prowadzącym w tym czasie zaciekłą wojnę przeciw oświacie, przeciw Komisji Edukacji Narodowej... Ale jednak na tę zdeklasowaną masę właśnie dlatego, że ciemna i dlatego, że szlachecka, trzeba było liczyć, jeżeli zamach garstki potentatów miał uzyskać bodaj pozór ogólnego ruchu społecznego.

Chodziło tylko o wyraz, o hasło, o powszechny pozór ideologiczny, którymby można ciemną masę uderzyć i poderwać, przyjaciół połączyć, wrogów przerazić i sterroryzować. Znaleziono go! Stał się nim straszak *„jakobinizmu“*.

Niema bodaj ani jednego uniwersału, ani jednego pisma targowickiego, któreby nie straszyło zjawą monstrualną i bestjalską „okropnej sekty paryskiej“, „sekty“ *jakobinów*. Przewodził tej robocie ksiądz Łuskina, jezuita, redaktor najpierw ideowego, potem urzędowego organu Targowicy — „Gazety Warszawskiej“, której kontynuacja służy niezłomnie po dziś dzień sprawie reakcji.

Ten szantaż na wielką skalę dał swoje rezultaty: pod hasłem walki z rzekomem niebezpieczeństwem *„jakobinizmu“*, pojętego jako synonim wszelkiej reformy postępowej, oraz pod drugiem hasłem, ukradzionem z tą samą czelną arogancją Rewolucji francuskiej, z jaką dziś hitleryzm albo faszyzm kradnie hasła socjalizmowi, pod hasłem obrony „równości i wolności republikańskiej“, t. zn. szlacheckiej, przeciw „zamachowi despotycznego monarchizmu“, t. zn. monarchizmu, pożal się Boże, króla Stasia, zmobilizował się obóz zjednoczenia reakcyjnego: dowodzony przez garstkę możnowładców obszarniczych i dygnitarzy, obsługiwany przez armję kleru z jezuitami na czele, wspierający się na ciemnej, zbiedzonej i ogłupionej masie drobnoszlacheckiej — obóz Targowicy.

Zmobilizował się, lecz poco? Aby złożyć zbiorowy hołd Katarzynie? Ależ sama myśl zdrady była wyklęta przez jawny program Targowicy! W rocie przysięgi targowickiej znajdowało się to piękne zdanie: *„Na oderwanie najmniejszej części kraju lub jego attynencyj pozwalać nie będę“*.

Chodziło o co innego. Reforma 3 maja nie dała chłopom prawie nic, ale obudziła ich nadzieje. Wywołała także wrzenie w miastach niekrólewskich, wyłączonych spod jej dobrodziejstwa. Tu i ówdzie wybuchają bunty chłopskie, petycje protestacyjne miast zalewają dwór królewski. Chodziło o zdławienie odrazu, za wszelką cenę, najlżejszego pozoru, godzącego w uświęcony porządek rzeczy: w przywilej garstki możnowładców i nieograniczoną władzę dygnitarzy. Chodziło o *zapobiegawczą wojnę domową* przeciwko masie ludowej, to znaczy przeciwko *narodowi*, budzącemu się z wielowiekowego snu niewoli. Wojnę wypowiedziano obozowi reformy, ale niedarmo uniwersał z 3 sierpnia 1792 r. głosił: „Szczególniej zalecamy konfederacjom... ażeby *włościanów* przy dawniejszej powinności utrzymywać starali się i buntowników *przykładnie*... wstrzymywali, nie dopuszczając szerzenia się... rokoszy“...

Oto cel. Lecz jak się rzekło, masa drobnoszlachecka jako oparcie nie budziła, i słusznie, zaufania dygnitarzy Targowicy.

Konieczna była asekuracja obcych bagnetów.

Zwracając się do „wielkiej monarchini Katarzyny“ — jak ją nazywali — o pomoc, uczynili targowiczanie pełny użytek z powszechnego pozoru ideologicznego, którym szantażowali społeczeństwo. Zażądali pomocy przeciw niebezpieczeństwu *„jakobinizmu“*. Rychło paść mieli sami ofiarą własnego szantażu; oni... ale nie ich latyfundja...

Katarzyna, polecając Kreczetnikowowi ukazem z dnia 19 grudnia 1792 r. obsadzić wojskami rosyjskiemi ziemie nowego zaboru, tak uzasadnia swoje racje: „Pobudzają nas do tego.. osobliwie niesnaski, panujące śród samych Polaków, demoralizowanych przez stronników konstytucji 3 maja, idących za hasłami *jakobinów francuskich*“.

Bardziej jeszcze interesująco znalazł się w tej sytuacji Fryderyk II, król pruski, związany z Polską węzłami serdecznego, ba, „wiecznego“ sojuszu z roku 1790. Kiedy pobity sromotnie, na głowę, pod Valmy we wrześniu 1792 r. przez rewolucyjną armję ludową Francji, armję *jakobińską* bez cudzysłowów, zapragnął „wynagrodzić sobie szkody“ przez zabór Gdańska, Torunia i część Wielkopolski, a pobita armja pruska rzeczywiście wkroczyła w granice Polski, nie napotykając oporu, wówczas poseł sojusznika pruskiego tak krok ten uzasadnił w swojej nocie: „Duch demokratyzmu francuskiego i maksymy tej okropnej sekty... zaczynają zakorzeniać się w Polsce tak dalece, że obroty wysłańców *jakobinów* silne znajdują wsparcia i wiele już rewolucyjnych klubów otwarcie zdań swoich czynią wyznania“, wobec czego wojska pruskie wkraczają, aby „przywrócić i utrzymać *porządek i spokojność publiczną*“. Na protest Targowicy poseł „sojusznika“ odpowiada drugą notą, w której brutalna drwina idzie o lepsze z bezmierną pogardą, większą od tej, na jaką umiała się kiedykolwiek zdobyć Katarzyna: „Postępek króla pruskiego winien być uwielbiany; ma bowiem na względzie nie co innego, jak przywrócenie spokoju rzeczypospolitej, *uśmierzenie zuchwalstwa jakobinów*“.

Dwa lata przedtem związał się obóz reformy majowej sojuszem z Prusami, pokładając nadzieję w ich sile militarnej. Myśl poszukania oparcia we Francji, kraju, w którym rozpalał się wówczas pożar rewolucji społecznej, wydawała się chyba szalona a może zbrodnicza. Dopiero na wygnaniu politycznem zrozumieli wodzowie obozu błąd... I gdy na sesji konfederacji targowickiej w Grodnie ks. Czetwertyński, ten sam, który z ramienia Targowicy zorganizował w Warszawie świetną tajną policję do tropienia *„jakobinów“*, wypowiada się — w obliczu jawnego najazdu — *przeciw zwoływaniu pospolitego ruszenia*, z obawy przed *„rozruchem narodu“*, w tym samym czasie z ramienia wygnańców jedzie do Paryża Kościuszko i omawia z Konwentem jakobińskim plany wywołania rewolucji ludowej w Polsce. Spóźniona niestety realizacja tych planów, znana w historji pod nazwą *insurekcji kościuszkowskiej*, uratowała przynajmniej „duszę narodową od wynaturzenia“...

A dwa lata przedtem — nim jeszcze pozór ideologiczny osłonił przygotowywaną zdradę obozu zjednoczenia reakcyjnego, nim kontrrewolucja zapobiegawcza otworzyła granice najazdowi — pisał targowiczanin Borzęcki do Szczęsnego Potockiego, późniejszego wodza Targowicy: „Choćby za wszczętą rewolucją mógł nastąpić podział Polski, równym to dla niej widzę losem, jak gdy się utrzyma rząd 3 maja... Trzeba ...narodowi koniecznie gwałtownego wzburzenia, któreby przerwało, a przeto odmieniło sposób życia obyczajów... *Wojna więc domowa nie nieszczęściem, ale dobrem jest dla ojczyzny*“.

*

W jednym z tegorocznych numerów styczniowych pisma, będącego kontynuacją „Gazety Warszawskiej“ — organu Targowicy, — w „Warszawskim Dzienniku Narodowym“ ukazał się artykuł wstępny, który zawiera zdanie następujące: *„Wojna domowa niezawsze jest nieszczęściem, często bywa jedynym sposobem uratowania narodu od zagłady, a duszy narodowej od wynaturzenia“*.

Co jednak „wynaturza“ „duszę narodową“? Odpowiadają na to chórem tragicznym wszystkie potęgi reakcji: „bolszewizm czyli żydokomuna, nazywana także fołksfrontem“.

Ubezpieczenia społeczne — bolszewizm! Skrócenie czasu pracy — bolszewizm! Prawo strajku — bolszewizm! Wolność słowa — bolszewizm! Literatura społeczna — bolszewizm! Nauczycielstwo szkół powszechnych — bolszewizm! I najważniejszy bolszewizm: *reforma rolna* — centrum rzeczy!

Gdy się bowiem przyjrzymy bliżej klasie prawdziwych posiadaczy naszego kraju, w pierwszych jej szeregach dostrzeżemy starych znajomych sprzed lat stu pięćdziesięciu: obszarników, w których latyfundja — w tylu potrzebach ocalone — reforma rolna godzi.

To oni, w każdym przejawie swobodnego życia narodu węsząc zmowę „wywrotowców“, sami tworzą groźną konspirację gwałtu: tkwiąc w radach nadzorczych kopalń i hut, w zarządach banków, ukryci za sprężynami aparatu państwowego, tajnie organizując i uśmiercając partje polityczne — zmierzają nieugięcie do zmobilizowania całej reakcji społecznej w obronie swoich obszarów.

Na hasło powszechnej mobilizacji w celu „ratowania duszy narodowej od wynaturzenia“ nie zabrakło kleru — prowadzącego równocześnie, z jakże owocnym skutkiem, wojnę przeciw „skomunizowanej“ szkole powszechnej —, stawi się ciężki przemysł, lecz gdzież, poza tą garstką, masa, któraby nadała ruchowi grupki potentatów bodaj pozór ogólnego ruchu społecznego?

Tego oparcia można było szukać tylko w zdeklasowanej masie zacofanego drobnomieszczaństwa, właśnie dlatego, że ciemna i dlatego że mieszczańska.

Lecz masa drobnomieszczańska jako oparcie, masa posiadająca na własność, poza ciemnotą, przeważnie tylko długi i nakazy podatkowe, mało się różniąca od proletarjatu i małorolnego chłopstwa, nie budzi, i słusznie, zaufania wodzirejów.

W „Naszej Przyszłości“, organie młodej konserwy, ukazał się w ubiegłym roku artykuł, z którego przytaczamy następujący fragment: „Z Niemcami mogłaby nam grozić wojna i w najgorszym razie, dajmy na to, *zabór* przez nich ziem polskich. *I cóż z tego?* Przez półtora wieku wysilały się potężne Prusy z najsilniejszą na świecie armją, żeby zniszczyć narodowo te trzy miljony Polaków w swym zaborze. I co zdziałały? Nic.“

Autora tego artykułu, młodego konserwatystę, Bobrzyńskiego, poniosła właściwa jego wiekowi szczerość. Powtórzył myśl, wyrażoną przez targowiczanina Borzęckiego, a niedopowiedzianą do końca przez „Warszawski Dziennik Narodowy“.

Lecz co głoszą inni, bardziej opanowani rzecznicy tego obozu?

Wytrawny publicysta, p. Cat - Mackiewicz, na łamach „Słowa“ wileńskiego, życzy z całego serca zwycięstwa pułkom niemieckim na półwyspie pirenejskim, pułkom, sprowadzonym tam przez targowiczan hiszpańskich, którzy — jak niegdyś ich polscy poprzednicy — nie zawahali się wywołać w swoim kraju kontrrewolucji zapobiegawczej przeciw wszelkiej reformie postępowej, kontrrewolucji, niosącej wojnę domową na wewnątrz, a zdradę narodową na zewnątrz! Życzy zwycięstwa, które, osaczywszy Francję od południa, ośmieliłoby niesłychanie bagnety pruskie nad granicą, dzielącą je, jak niegdyś od Gdańska, Torunia i Wielkopolski! Nad granicą, która w kraju „wielkiego wodza Adolfa Hitlera“ (jak go nazywają niektórzy Polacy) nosi miano „krwawiącej“...

Lecz czyż wolno kwestjonować dobry patrjotyzm p. Cata - Mackiewicza i jego mocodawców, zabiegających o zjednoczenie całej reakcji społecznej? Czyż można odmówić mu przekonania, że „na oderwanie najmniejszej części kraju nie pozwoliłby“?

*

Cofnijmy się raz jeszcze w przeszłość odległą... Jawne wystąpienie Targowicy stało się początkiem

---

Literatura i nauka służą tylko ludzkości, dostępne są tylko człowiekowi wolnemu, rozwijać się mogą tylko w klimacie wolności, dlatego też obowiązkiem tak pisarza jak i pracownika nauki jest walka z każdym totalizmem, a pierwszą, ale nie jedyną i nie najważniejszą formą tej walki, jest zbiorowy protest.

Zdarzało się, że strażacy zajmowali się podpalaniem domów; podobnie zachowują się pisarze, godzący się na podporządkowanie literatury prądom politycznym, albo uczeni, błogosławiący zwycięstwom „prawdy życia“ i „mistyki ducha narodu“ nad *ratio.*

Przypisek polemiczny

Przy każdym pożarze zbiera się tłum gapiów, szukających sensacji. Podobnie na każdym zjeździe pisarzy znajdzie się zawsze paru Łaszowskich; sprawy literatury są dla nich obojętne, kwestje moralne nie istnieją. Myślą tylko o jednem, kogo im się uda zadenuncjonować przed opinją publiczną jako „zdrajcę narodu“, jak zrobić huczek koło własnej osoby. Dla Łaszowskiego — protest pisarzy jest klepaniem sentymentalnych frazesów, mniej lub bardziej nudnym artykułem. Totalizm czy demokracja są dla niego tylko cyrkowem widowiskiem, które wyzwala u artysty słabszy lub silniejszy potencjał energji. Ten „uczeń Kotarbińskiego“, jak Łaszowskiego nazywa Irzykowski (chyba dlatego, że zapłatał się może na jakiś z wykładów profesora i usłyszał o narzędziach poznania), który wyje dziś razem z chwilowymi zwycięzcami, ośmiela się określać nazwą „obrony stanowisk trudniejszych“ nawoływanie do palenia książek i bicia żydów. „Nie jestem bezpośrednio zainteresowany w walkach obu stron“ — pisze Łaszowski, to prawda; temu ideowcowi, który w ciągu paru tygodni z socjalisty stał się nacjonalistą, chodzi naprawdę tylko o jedno — jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię. Tak się też stało; cytuje go i drukuje cała prasa narodowa i sanacyjna od „Młodej Polski“ po „Falangę“.

Jest takie powiedzenie Gide'a: „Ryby, kiedy zdychają, obracają się brzuchem dogóry i wypływają na powierzchnię, to jest ich rodzaj upadku“.

Jan Kott

ANNA KOWALSKA

BIAŁE NOCE I CZARNE DNI

Część pierwsza: SZWECJA

WYSPY. Jest ich podobno czterdzieści tysięcy. Małe z jedną karłowatą sosenką, duże z wysokim lasem schodzącym do morza, do samego morza, jak na obrazkach dla dzieci. Zdaje się, że się jedzie kanałem śród lądu, ale zbliska las rozpada się na wyspy zachodzące za siebie. Na każdej prawie wyspie domek wylakierowany na czerwono, z białemi okiennicami, biała altanka na malutkim przylądku. Belwedery. Ławki, fotele, stoły. Żwirowane ścieżki. Malutka przystań. Motorówka. Życie minjaturowe.

*

Od pierwszego spojrzenia wie się, że okręt przybija do szczęśliwego lądu, zamieszkałego spokojnie przez szczęśliwych ludzi. Barczysty, rumiany robotnik urzęduje godnie przy dokach. Młot w jego rękach jest narzędziem pracy, nie symbolem politycznym. Wypracował sobie willę, orzechowe czy mahoniowe meble, radjo, telefon, motocykl, chce jeszcze auta i motorówki. W gazecie czyta rzeczowe artykuły o szansach nowej podwyżki płac, o podatkach. Będzie i tu czterdziestogodzinny dzień pracy. Sklepy są zamknięte od godz. 5. Umowy zbiorowe dla robotników, przedstawiciele pracowników w radach administracyjnych, spółdzielnie dla wszystkich artykułów pierwszej potrzeby, wysokie zarobki, rzeczywista równość praw, kilkadziesiąt lat kultury socjalistycznej i stąd i dobrobyt i powszechność pracy. Myśl o permanentnej rewolucji jest dla nich czemś tak samo wstrętnem, jak faszyzm, musztry, wycia wodzów i ideowy głód.

*

SZTOKHOLM. Kolory miasta twarde. Ostre kontury budynków, pagórków. Kamienice brunatne, ciemnopopielate. Zielone i pomarańczowe story, wysunięte na ulicę, ożywiają budynki. W barwach tych jest jakieś bogactwo, odwaga i odczucie malarskie. Tylko północne oko mogło wybrać te jaskrawe i jakieś uroczyste odcienie. Ulica ma wygląd gali malarskiej.

*

Dwadzieścioro dzieci rozsiadło się przy stolikach Mjölkbar'u. Zsunęli czerwone, lśniące zydle w ławę, stoliki w stół. Nauczyciel, płowowłosy chłopak o szczerej, jakiejś macierzyńsko - ojcowskiej twarzy, zamawia przy ladzie dwadzieścia befsztyków, dwadzieścia legumin i tyleż dzbanków mleka.

Piegowate, rumiane twarze ledwo powstrzymują chichot, który często nawiedza dzieci, gdy się znajdą śród dorosłych. Coraz inni ludzie zasiadają na wysokich krzesełkach baru albo przy szklanych stolikach. Żytnie czupryny szkółki wiejskiej skupiają się w jedną chichoczącą kopicę: spiskują.

Dziewczynki w zielonych, żółtych, różowych sukienkach rozmawiają rzeczowo, pomagają nauczycielowi nosić półmiski i dzbany. W barze każdy sobie sam usługuje.

Wielkie szklanice mleka podniosły się wgórę. Cisza. Nauczyciel z ulgą śledzi przymknięte po dziecinnemu oczy i zasapane, czerwone twarze. Muszą być bardzo spragnieni. Upał. A cały ranek w muzeum, w porcie, w starem mieście.

Jest to wiejska szkoła powszechna z północy. Wiele tych wiejskich szkół na wycieczkach w stolicy widać po całem mieście, zwłaszcza przy dworcu. Uderza swoboda bez dokazywania, porządek bez musztry. Lśniące zdrowiem oczy patrzą mocno na ludzi, ulicę, obrazy. Oczy niezamącone ani kłamstwem, ani chytrością, ani upokorzeniem.

*

Bank. Trzy kobiety przy stołach. Spokój. Cyfry i pieniądze wydają się unieszkodliwione. Kobiety uśmiechają się krótkim, handlowym uśmiechem i zaraz poważnieją, kiedy biorą do rąk rachunek.

*

Duży sklep z papierami. Młodziutka dziewczyna obsługuje flegmatycznie klientów. Oprócz niej nikogo niema w sklepie. Może dopiero wieczorem buchalter przyjedzie na motocyklu.

*

Gazety podają fotografje starców i staruszek, którzy obchodzą urodziny: zamiataczka ulicy, mleczarz, dozorca, właściciel wielkiej firmy handlowej, radca królewski.

*

Niemal osiemdziesięcioletni król jeździ jako Mister Gustaw od Bastadu do Sörö, gra w tenisa z miejscowymi amatorami i mistrzami, nieraz przegrywa, podpisuje dziewczętom królewski znak na pamiątkę. Podobno niebardzo lubi socjalistów, ale powołuje ministrów socjalistycznych, ponieważ jak każdy inny obywatel szwedzki, ma do nich zaufanie. Właśnie ministrowie - robotnicy zapewniają utrzymanie kraju w energicznym dobrobycie. Nawet sceptyczni bankierzy przyznają ministrom - robotnikom zdrowy instynkt, rozsądek i cierpliwość. Przemysłowiec skarży się na podatki, ale nie zaprzecza, że wzbogacony na spółdzielczości chłop i dobrze zarabiający robotnik są najlepszymi klientami przemysłu.

*

Mniejszość socjalistyczna w Szwecji, jak w Danji i Norwegji, wywalczyła dla robotników, chłopów, urzędników, dla dzieci, chorych, kalek, dla kobiet, dla dzieci nieślubnych, ubezpieczenie od wypadku, choroby, bezrobocia, starości, zrównanie praw. Bez kampanji ateistycznej, bez prześladowań religja utraciła władzę nad ludźmi. Partja socjalistyczna zwyciężyła, ponieważ umiała realizować, a wstrzymywała się od gróźb i szantażu strachem. Spółdzielnie wzbogacały członków, ale wszelka agitacja polityczna, religijna, społeczna była zakazana. Nawet datki na cele humanitarne są spółdzielniom zakazane. Spółdzielnie mają jedynie wzbogacać. Przez ograniczanie się, przez selekcję ludzi i towaru spółdzielnie w krótkim czasie zgromadziły olbrzymie majątki. Wtedy dopiero zaczęły rozszerzać swój zakres, fundowały szkoły wzorowe, solarja, planetarja szkolne, szpitale i teatry.

*

Wprowadzona częściowo prohibicja zmniejszyła zużycie alkoholu o 40%. Każda rodzina otrzymuje kartę na alkohol. Przyczyniło się to w znacznej mierze do obracania zarabianych pieniędzy na komfort życiowy, zamiast na wódkę.

*

Konta bieżące w bankach, depozyty, obrót czekami i akcjami są kontrolowane przez państwo dla celów podatkowych.

*

W centrach robotniczych znajdują się ogromne pralnie elektryczne, gdzie za małą opłatą żony robotników oddają do prania bieliznę. Maszyny mydlą, piorą, płóczą, suszą i prasują. Kobiety tylko doglądają swojej bielizny.

*

Uniwersytet ludowy w Brunswick i w Wiskaden daje pomieszczenie dla tysiąca robotników i robotnic. Centrala związku robotniczego, a częścią państwo płacą koszta sześciomiesięcznego pobytu. Profesorowie wykładają grupom robotników o rozwoju technicznym, o możności eksportu i ustanawianiu cen. Robotnicy zapoznają się z problemami fabryki, w której pracują, z ekonomją.

*

Nie widać koni. Auta, auta, auta. Lśniące, nowiutkie. Nie trąbią, nie trzęsą się, nie kopcą. Suną cicho. Nie widać ani wojska, ani duchownych, tylko dziewczęta. W krótkich perkalowych spodeńkach. Chustka przez piersi. Nagie plecy, gołe nogi. Setki, tysiące rowerów. Kolorowa armja motyli płynie bez szmeru wstęgą asfaltu. Matki wożą przed sobą w koszyczku dzieci dwuletnie. Siedmiolatki mają własne rowerki. Stylu na pudle z piłkami siedzi grzecznie, po szwedzku, pies.

*

GOETEBORG. Duża chorągiew: na niebieskiem tle żółta swastyka. W izbie na piąterku, wyklejonej afiszami, kilku siedemnastolatków, o obrażonem spojrzeniu, ambitnie wymachuje rękami.

*

W parku przedstawiciel partji komunistycznej krzyczy z pastorskim podśpiewem o łotrostwie faszystów w Hiszpanji, o dzieciach hiszpańskich, które trzeba ratować. Przechodnie piją obok w kiosku paskudny pomak, rodzaj jabłecznika, który raczej pachnie jednak rozpuszczonym lakierem do paznokci, niż jabłkami, i słuchają. Namyślają się i składają datek na dzieci hiszpańskie.

*

Młody robotnik myje ogromną szybę wystawową w cukierni. Jakżeż jest on wzruszający i bliski, kiedy schodzi z drabiny i z szeroko otwartemi ustami podziwia z każdej strony szybę, którą właśnie umył.

*

HALMSTAD. Auto ciężarowe z beczkami benzyny. Prowadzi ośmnastoletnia dziewczyna. Złociste loki, niebieska perkalowa sukienka do kolan, śnieżnobiały kołnierzyk, sandały na gołych nogach. Gwiżdże tango, uśmiecha się do kolegów - szoferów.

*

Tomter til salu. Parcela do sprzedania. Tuż za kamienicą sześciopiętrową, przy asfaltowej szosie i chodniku, przy przystanku autobusowym. Półko pszenicy. Doskonałej, różowo - złocistej. Bez kąkola i wyki. Na nasienie. Czysto, wiejsko, pożytecznie. Zanim wyrośnie kamienica, dojrzewa zboże. Płodozmian urbanistyczny.

*

Kawiarenka. Trzy siostry. Siedemnaście, piętnaście, trzynaście lat. Trzy różowe uśmieszki coraz mniejsze. Wchodzi szofer auta ciężarowego w błękitnem ubraniu roboczem. Pije filiżankę czekolady z kremem, je biszkopty. Dziewczynki pozdrawiają uśmiechniętym szczebiotem. Szofer odpowiada leniwiej, ale z dobrym uśmiechem, mrużąc oczy.

*

HALMSTAD - NORRA. Domy robotnicze. Piękne wille, trzy, cztero - pokojowe. Doskonale przystrzyżony gazon przed domem. Ogromne okna. Widać całe umeblowanie. Lśniące, orzechowe powierzchnie, kwiaty, ptaki, duża kolorowa łazienka, stylu ogród. Starszy robotnik zajeżdża motocyklem. Z drugiej strony na rowerze córka. Przy głównej ulicy wille otoczone są płotem z róż, które przelewają się na ulice gęstwą różową. Setki will, we wszystkich kierunkach. Starsze mają róże, nowsze trawnik angielski.

*

HELSINGBORG. Daleko za parkiem, za willami, za lasem, śród łanów koniczyny pałac. Po kracie pnie się wino, powoje. Widać ogród, doskonałe trawniki, park. Pałac pusty. Okna tylko lśnią, widać, że chyba dziś rano myte. Pewnie właściciele wyjechali do kąpiel. Ale czy znajdą gdzieś tak piękny dom, park i widok? Pachną kwiaty. Mijamy park nieogrodzony. Maliny i truskawki niezerwane schną w słońcu. Cisza. Podchodzimy bliżej. Na bramie latarnia i napis: *Szpital chorób zakaźnych.*

*

Dzika plaża koło autostrady. Mkną auta, rowery, motocykle, trycykle rozwozicieli towarów. Górą, na wiadukcie kolej. Ostry zakręt. Pociąg zdaje się lada moment nie zatoczy łuku, lecz ześlizgnie się w linji prostej do morza, za parapet.

Na piasku, pod różami rozbierają się kobiety. Składają suknie, bieliznę w tłumoczek, na który kładą kamień. Jest wiatr. Wstają nagie, wkładają trykot. Po kąpieli znowu na brzegu zdejmują trykot, płuczą go i nagie biegną do swoich stosów bielizny, rowerów i paczek. Są to panny sklepowe, robotnice, poważne matki zmęczone zakupami w mieście. Za chwilę wsiądą odświeżone na rower i pojadą z koszykiem do domu gotować obiad. Nikt się nie dziwi nagości, nikt nie podgląda, nie dowcipkuje. Nagość jest naturalna, uwolniona od podejrzliwości pastorskiej, bezgrzeszna. Ubranie chroni ciało od zimna, nie od lubieżnych spojrzeń.

Dalej, w ogrodzeniu plaża płatna. Trzydzieści groszy. Drewniane pomosty głęboko wchodzą w morze na czystą wodę bez alg. Na lewo kobiety. Na prawo mężczyźni. W morzu sznur odgradza obie płci. Na pomoście stają dziewczęta nagie. Doskonale zbudowane. Zawisają na orczyku. Przekręcają się zwinnie nad zieloną wodą i łukiem daleko spadają w wodę. — Ej hoppa! — woła babcia do trzynastoletniej wnuczki, która z orczyka robiąc jakieś cudowne pętlice z własnego tułowia spada z plaskiem do wody. Morze jest puste. Wszystkie nurkują. Pisk. Wydobywają małego kraba, podobnego do pająka. Dwie Szwedki - Amerykanki opalają się na drewnianych tapczanach. Palą papierosy. Rozmawiają o transakcjach handlowych. Jedna ma handel zegarkami na

---

gwałtownej dekompozycji obozu przewrotu majowego. Stanisław August, głowa państwa, zgłosił akces do obozu targowickiego. Poszli jego śladami najwyżsi dostojnicy państwowi: kanclerz Małachowski, podkanclerzy Chreptowicz i inni. Obóz, który na rzeczywistą, głęboko sięgającą reformę się nie ważył, który jej pozorem obrócił przeciw sobie ciemną masę drobnoszlachecką, a nie mógł sobie zapewnić faktycznego oparcia w masie ludowej, zawisł w powietrzu i musiał się rozpaść nieuchronnie. Renegaci zgłaszali akcesy do przeciwludowego obozu zdrady, poczęści z oportunizmu, dla ratowania własnych majątków i stanowisk, poczęści z przekonania; na ich dobro zapisać jednak trzeba to, że traktowali tę rzecz wstydliwie i nawet znikczemniałemu Stanisławowi Augustowi nie śniła się ambicja zajęcia czołowego stanowiska w kadrze organizatorów Targowicy.

Mieczysław Bibrowski

wielką skalę, druga sprzedaje szwedzkie kryształy artystyczne.

Deszcz. Jedni skaczą do wody, inni chronią się do kabin. W kabinie znajduję młodą matkę z śliczną dziewczyneczką, starszą jakąś kobietę o cudownem ciele i dwie studentki z Göteborgu. Przez otwarte drzwi widać dymiące morze, miejscami lazur złowrogi, gdzieindziej fioletowy mrok burzy. Chmury pędzą szybko i nisko. W kabinie toczy się przyjacielska rozmowa. Obok słychać słowa niemieckie i angielskie. Jakiś melodyjny, cichy głos skarży się obok na samotność. Gdziekolwiekby się było, zawsze się znajdzie taki jeden głos, jakby był to głos samego życia.

*

MALMOE. Samoloty odjeżdżają co godzinę z Malmö do Kopenhagi. Promy odbijają i przybijają kilka razy na dzień. Kopenhaga jest miastem sklepów, składów towarowych i alkoholu. Podróżny ma wrażenie, że co drugi sklep to handel win i wódek z całego świata, a co trzeci sklep to handel tytoniu i cygar. W niedzielę wieczorem stateczni Malmejczycy wysiadają na molo swojego rodzinnego miasta podpici, podochoceni albo poprostu pijani, zależnie od temperamentu. Powietrze nadmorskie pachnie w niedzielę bardziej alkoholem niż algami: bo w Szwecji jest prohibicja.

Niema chyba kraju w Europie, gdzieby z takim przepychem fundowano obywatelom parki. Są parki — lasy ze stawami, rzekami, drogami automobilowemi, gdzie uboga ludność wylega w wolne dni z dziećmi i koszami prowiantów. Jakimś cudem trawa nie jest wydeptana, ale przeciwnie bujna. Są parki luksusowe, płatne, z cudownemi klombami, cieplarniami orchidej, palm, róż, parki angielskie, skwery, aleje, strzyżone gazony na wielkich przestrzeniach. Niema tak małego miasta, gdzieby nie trafiło się na piękny park.

Halmstad jest miastem - parkiem. Park z wszystkich stron podchodzi ku środkowi miasta, każda dzielnica i przedmieście są w swoje parki owinięte, rozległe dywany zielone leżą między blokami kamienic i will.

Można niemal cały Sztokholm przejść szlakiem trawników, a tramwajem zajechać do Djurgardenu i nie schodząc z asfaltu, wdzierać się w głąb prawdziwej puszczy. Park w Malmö wielki jak dzielnica miasta schodzi ku morzu ogromnym plantem zielonym; można na nim siedzieć, patrząc na jadące bez końca rowerzystki do kąpieli, można spać na tej wielkiej równinie słońca i powietrza morskiego.

W każdem mieście są ogródki dla dzieci. Zostawione przez rodziców, którzy idą do pracy, maleństwa koziołkują cierpliwie na murawie, stawiają dęba, spinają się na rek, na wyschłe drzewo w tym celu ścięte.

*

W niedzielę cała Szwecja szumi chorągwiami. Każdy pałac, dom, chata choćby najskromniejsza, wyciąga z dumą znak narodowy. Patrjotyzm szwedzki niemilitarystyczny, niezachłanny jest jakiemś radosnem poczuciem własnej wartości, odrębności.

Wieczorem w restauracji orkiestra gra hymn narodowy, wszyscy wstają, właściciel ogródka spuszcza na noc chorągiew (zawsze czystą). Ta codzienna uroczystość trochę dziwi cudzoziemca.

*

Muzea szwedzkie w przeważnej części poświęcone są dziełom rąk i wyobraźni ludu szwedzkiego. Wszystkie epoki, prowincje, zawody, zwyczaje, wierzenia i zabobony z uszanowaniem i troską zostały odtworzone i wyjaśnione. Wiejskie malunki na długich sztukach płótna przedstawiają sceny z biblji, sceny historyczne i miejscowe zwyczaje. Jest w tych anonimowych dziełach radosna pogoda, bujność, duma niewinnej duszy skandynawskiej.

Anna Kowalska

MARJA KOSZYC-SZOŁAJSKA

WOZY BEZ KÓŁ

Józef Morton: Spowiedź. Warszawa. „Rój", 1937.

„Wsią dziś wszyscy się bawią, jak małem szczenięciem, jak egzotyką barwną, szumną", tak mówił kiedyś w klasie jeden z profesorów autora „Spowiedzi", ale słowa te zrozumiał i przypomniał sobie znacznie później chłopski syn, Stefan Okoła. Przypomniał je w parę lat po wyjściu ze szkoły, po długiej tułaczce, po bezowocnych wędrówkach i łażeniu „od biura do biura, od urzędu do urzędu, z miasta do miasta, w poszukiwaniu pracy, za łyżką ciepłej strawy". Wtedy to dopiero się przekonał, że chłop właśnie wszędzie jest obcy. Jest niczyj. że obok jednego Liskowa istnieją w ojczyznie tysiące nikomu, zdaje się, niepotrzebnych i zapomnianych wiosek — takich właśnie, jak jego rodzimy Chroborz, z którego uciekł kiedyś do szkół, aby „przez całe życie nie babrać się w gnoju", by „ostać panem, a może i księdzem".

„Ty żebyś mi pilnował książki, jak oka w głowie — nakazywał synowi ojciec — bo z tego będziesz miał chleb — sam widzisz, jak jest na wsi".

Jednakże chleba z książki Stefan Okoła nigdy się nie doczekał, choć został „panem". Zabrakło dlań miejsca w ojczyznie, zabrakło i chleba. Chory, złamany wrócił z miasta na wieś, by tam spisać swe pamiętniki i zgasnąć cicho, niezauważalnie, jak mały kaganek w ojcowskiej chałupie, do którego kupowano nafty za 3 grosze (aby na dwa wieczory starczyło).

Przykuty chorobą do łóżka, przebiegł Stefan w pamięci całe swe dotychczasowe życie: ubogie, bezbarwne, bezpromienne. Ujrzał i jakby na nowo uprzytomnił sobie całą beznadziejną nędzę chłopskiej rzeczywistości. Chłopskiej prawdy.

„Gdybym dziś miał syna, nie posłałbym go do szkół, kazałbym mu jeno nauczyć się pisać, czytać, rachować i wolałbym mu ukręcić bat z konopi, ażeby nim popędzał hrabskie woły, aniżeli kształcić go na pana, bo jakaż korzyść ma dzisiaj społeczeństwo z takich, jak ja (przed chorobą oczywiście) i mnie podobnych?". I dalej wspominając kolegów z ławy szkolnej, dodaje, że ci, którzy się nie zaciągnęli do obozu pracy, „muszą nadal pozostawać przy ojcach, na wsi".

A dziewczęta z dyplomami?

Jeżeli nie posiadają „kogoś" w rodzinie, jeżeli nie mają protekcji, tego nieodzownego dziś „biletu wizytowego", bez którego i kroku naprzód nie można postawić, czeka je jeden z 4 „łatwych zawodów": prostytutki, utrzymanki, w lepszym razie — służącej do wszystkiego, lub nianki.

Kogo za to winić, pyta chłopski syn, że tyle zdrowych, młodych, silnych ludzi „płacze się po kraju bez celu i potrzeby?". Lecz na to pytanie nie znajduje odpowiedzi. Bo i któż mu nań odpowie? I jak? W jakich słowach? Ci, którzy mogliby dać odpowiedź, nie uczynią tego, gdyż musieliby świadczyć przeciw sobie, inni natomiast odpowiedzieć nie mogą: bo im nie wolno. Więc chłopski syn, co „książki, jak oka w głowie pilnował", aby z niej chleb jeść, zdycha z głodu lub staje się ciężarem dla rodziny, która i bez tego, aby kupić przysłowiowej już dziś nafty albo soli, musi dosłownie czekać przy kurniku i zaglądać, „czy kurka aby już się zniosła". I rozmyśla chłopski, wykształcony syn: czyż nie lepiej było, jak ojcowie, dziadowie i pradziadowie „wyrzucać spod bydła gnój, modlić się i płodzić dzieci, które później wyrastały na parobków i robotników dla różnych panów Staropolskich". I przychodzi do przekonania, że niema sensu stwarzać armji „rozbitków życiowych", którzy, zawieszeni w próżni społecznej, męczą siebie i innych.

Podobne myśli, beznadziejne i ciężkie, jak głaz, dławią go tylko w chwilach zupełnego załamania się duchowego, zasadniczo jednakże chłop nie przekreśla konieczności nauki, pojmując, że mimo wszystko to jest jedyna droga, prowadząca ku jakiejś innej przyszłości. Rozumie to wreszcie cała wieś. Rozumie, że trzeba coś robić, szukać jakiegoś wyjścia, więc chłopi się zbierają na wiece, radzą. Po wiecach w chłopskich chałupach „dzwonią obcasy policyjne", ale to nic. To nie przeraża, że „ich pobrali na badanie". Chłop nie jest już „ślepy niezguła", dowodzi jedna z gospodyń wiejskich, „niech robią wiece, niech radzą, niech czytają gazety, niech uczą swe dzieci". I chociaż jest źle, nie chcą już „babrać się w łajnach, smrodzie i ciemnocie". Nie chcą patrzeć spokojnie „na swą poniewierkę", nie chcą czekać, kiedy się skończą „kredyczne czasy".

„Nie potom cię kształcił, nie potom się męczył, jak skazaniec przez tyle lat, żebyś dzisiaj wyglądał, jak największy dziad" — lamentował stary Okoła. To samo myślał Stefan: „zbyt drogo kosztuje nas, mimo „pisanych konstytucji", zdobycie podstaw życia, — nas, ludzi nowych, bez tytułów, bez przeszłości, synów chłopskich, wygnańców, którzy, jak te psy, tułają się między wsią a miastem, nie wiedząc, co począć, czego się czepić". Czasem wprawdzie znajduje się dla któregoś z tych ludzi „lepszy ochłap na śmietnisku życia", reszta — to wykolejeńcy, spychani po wieloletniem gramoleniu się „rękami i nogami" spowrotem, ku dołowi. „Jesteśta, jak wozy bez kół" — mówił stary chłop Franaś, mając na myśli rodzinę Okołów. Te słowa możnaby powiedzieć o całej wsi polskiej, bo dzisiejsza wieś, to rzeczywiście wozy bez kół. Tyle już o niedoli chłopskiej pisano: o wsi pańszczyźnianej, jaśniepańskiej i bezpańskiej. Ale niedola nadal pozostała niedolą. Źle było i źle jest ciągle. Nędza, ciemnota, głód, brud i krzywda. Nikt się nie śpieszy, nikt nie idzie do chłopa, nikt go też do siebie nie woła. Na żadne zresztą hasła chłopa się nie weźmie: on pójdzie jedynie za tym, dla kogo jego chłopska prawda, jest nie tylko frazesem, lecz prawdą własną, bo chłop, jeśli nawet i zostaje „panem", dźwiga w sobie wszystko, co „oddziedziczył z krwią po ojcach, dziadach, pradziadach". I każdy jego interes, każda jego sprawa, jest przedewszystkiem sprawą chłopską, bez względu na zdobyte wykształcenie i wiedzę. Myśl ta jest jakby leitmotiwem „Spowiedzi" Mortona. Wieś nie jest już „ślepem szczenięciem, ale podwórzowym psem". Dziś jeszcze psem na łańcuchu. Pies cicho skomle albo, od czasu do czasu, głucho, przeciągle wyje: może kto usłyszy. A jeśli nie? Może się szarpnąć, może się zerwać — a wtedy?

Odpowiedzi na to książka nie daje, maluje tylko w słowach prostych, niewybrednych obecny stan wsi: jest to właśnie ciche skomlenie. Czy wyjdzie kto popatrzeć, co temu psu dolega? Bo dobry gospodarz wychodzi przecie nie tylko na złe ujadanie, ale i na głuchy jęk. A wieś jęczy. Coraz głośniej. Komu jednak zależy na tem, by zaczęła szarpać i gryźć? Sam chłop tego, zdaje się, nie rozumie, są jednakże tacy, jak ów profesor, którzy rozumieją i wierzą, że „kiedyś szczenię otworzy ślepia", i...

„Spowiedź", to pamiętnik chłopa, pisany bezpretensjonalnie, bez wszelkich niemal chwytów i sposobów literackich. I ta bezpośredniość, bijąca z książki, ta prostota i szczerość potęgują właśnie prawdziwy tragizm „Spowiedzi". Autor często posługuje się gwarą (kielecką), co w rozmowach chłopów brzmi całkiem naturalnie. Niekiedy jednakże wprowadza wyrazy gwarowe do zdań skądinąd czysto „literackich", które pisze już jako „inteligent". I wtedy trudno zrozumieć, czy robi to umyślnie, chcąc w ten sposób podkreślić swą chłopskość, czy też jest to bezwiedne, „atawistyczne". Bo jeśli chodzi o piękno języka, o styl, nie robi to wrażenia dodatniego, przeciwnie: wszelkie takie wyrażenia, jak: „glonik herbaty", „błanikowanie się po polach", „frygnął" (w znaczeniu: rzucił czy zarzucił), albo „naolompas" (w pośpiechu), czy inne — wywołują tylko dysonans i rażą w zdaniach pozatem poprawnych. Autor musi ustalić: gdzie gwara, gdzie „literackość". Bo nie zawsze i nie wszędzie „jędrne, a soczyste słowo", słowo ziemią pachnące, będzie ozdobą. Tu trzeba wyczucia.

Co do samej konstrukcji książki, zauważyć się daje w niej jakby pewna bezplanowość, wynikająca z „nawrotów wstecz", z nagłych myślowych skoków w przeszłość. Chwyt retrospektywny, ostatnio coraz częściej spotykany we współczesnej powieści polskiej, nie zawsze jest stosowany szczęśliwie: forma ta bowiem stwarza niekiedy pewną chaotyczność i chwilami zaskakuje, dezorjentuje czytelnika, jak n. p. w „Cudzoziemce" Kuncewiczowej lub w „Granicy" Nałkowskiej. Mistrzynią w stosowaniu tej formy jest Boguszewska; udało się jej to świetnie w „Całem życiu Sabiny".

Obok „Pamiętników chłopów", „Spowiedź" Mortona jest jeszcze jednym głosem wsi, jeszcze jednem przypomnieniem prawdy chłopskiej. Jeszcze jednym sygnałem ostrzegawczym.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

ASPEKTY BAROKU

ODRODZENIE I BAROK

Przełom Odrodzenia znamy mniej więcej dobrze jako zakończenie wieków średnich i nastanie czasów nowych. Znamy też Rokoko, poprzedzające bezpośrednio wybuch rewolucji francuskiej, przeobrażającej życie całego kontynentu. Natomiast nie znamy tych niemal trzech wieków, które upływają między początkiem wieku XVI-go a końcem wieku XVIII. Te trzy stulecia obejmujemy mianem baroku, ale zbyt jednostronnie znamy je jako styl architektury i rzeźby. Powiada Kazimierz Chłędowski, że „barocco opanowało nietylko Rzym, ale rozszerzyło się po całych Włoszech, po Wenecji, Genui i Medjolanie, szybkim krokiem przeszło Alpy i oparło się o Salzburg, Würzburg, Drezno, o Kraków, Lwów, Warszawę i o nasze wiejskie kościółki. Jakiś rozwichrzony, kapryśny genjusz wionął po murach, wybił na nich swe charakterystyczne piętno, czasem wesołe, często dziwaczne, zawsze zajmujące. Pełen miary renesans gdzieś zniknął, prostej linji się zaparto, pokrzywiono ją, pogięto, poprzerywano, zapomniano o powadze rysunku, jak ją rozumieli Grecy i Rzymianie... marmury dostały konwulsji, a wyrzeźbieni święci poprzemieniali się w gimnastyków siedzących na gzymsach ze spuszczonemi nadół nogami" („Rzym ludzie baroku").

Czy to już wszystko? Nie. Tenże Chłędowski dodaje: „Nazwą baroku zanadto przyzwyczailiśmy się obejmować tylko objawy sztuki plastycznej, podczas gdy sztuka była tylko wykwitem dziwacznego społeczeństwa, które snadnie miano społeczeństwa barokowego nosić powinno". Społeczeństwo dziwaczne? Dlaczego dziwaczne? Spengler powiada, że w baroku statyka średniowieczna i renesansowa ulega dynamizacji, kształt odosobniony i linja bezinteresowna nabierają życia, wiążą się z duszą człowieka, z jego przekonaniami i pragnieniami. Istnieje nietylko plastyka barokowa, ale i muzyka, i rzecz prosta, literatura, a przedewszystkiem poezja. Nie byłoby trzeba uważać tego za dziwaczne, ale baroku brak śmiałego wyznania: średniowieczna wiara znikła, człowiek żyje już inaczej, ale o tem, że się zmienił, nie wolno mu mówić. Inaczej mówiąc: żyje człowiek już według zgoła innych zasad, lecz zasady te musi zatajać, jakby ich nie było.

PRZYCZYNY BAROKU

Wieki średnie mają nie tylko wiarę niezachwianą, ale wiedzę subjektywnie tak pewną, że zachwiać jej nie mogła odrazu nawet rzeczywistość. Człowiek średniowieczny tak mocno trzymał się autorytetu, iż np. mnisi przepisując stare manuskrypty z całym pietyzmem powtarzali najoczywistsze błędy, wywodząc, np., że „mucha jest robakiem lęgnącym się z gnoju i mającym ośmioro łapek". Żadnemu nie przyszło na myśl, złapać muchę i policzyć jej łapki. Kosmografja średniowieczna była biblijna, filozofja scholastyczna ugruntowana była na Arystotelesie swoiście pojmowanym. Nie brakło, oczywiście, jednostek mających własne zdanie o życiu i jego sprawach, ale są to tylko jednostki a pozatem sankcje karne cenzury kościelnej są tak ostre, iż w gruncie rzeczy najżarliwszy apostoł wolności ducha woli milczeć, niż pójść na stos.

Dziwaczność baroku polega więc na tem, że gdy w wiekach średnich człowiek wierzył w naukę kościoła i czasem tylko, jako heretyk, wierzył nieco inaczej, w baroku ludzie kierowniczy już nie wierzą, a conajmniej są obojętni religijnie czy kościelnie, lecz ani swej niewiary, ani swej obojętności nie głoszą. Z drugiej strony, liczni sceptycy i indyferenci żyją tak, jakby żadnej nauki kościelnej i żadnej religji wogóle nie było. Chłędowski opowiada, że Urban VIII, który z taką zaciekłością zwalczał mądrego Galileusza jako szkodliwego dla kościoła, cieszył się ze zwycięstw protestanckiego króla Gustawa Adolfa, bo one odpowiadały jego polityce. To jest sytuacja moralnie dość dziwaczna.

Ale barok jest w gruncie rzeczy raczej tragiczny, niż dziwaczny. Jego symbolem najwymowniejszym jest Galileusz, duch wolny i światły, jeden z najszlachetniejszych przedstawicieli ludzkości. Władcza ciemnota, a nawet obłuda, każe mu milczeć i nie tylko milczeć, ale zmusza go do mówienia rzeczy, które dla jego umysłu i serca są śmieszne. To jest właśnie barok. Prostota linji antycznej, to proste i jasne „tak" i „nie" sztuki i myśli, ulega skrzywieniu, zaczyna falować, wyginać się w najdziwaczniejszych kontorsjach, antyczna nagość gubi się pod olbrzymiem mnóstwem tkaniny poukładanej w misterne i śmieszne fałdy. Człowiek już *wie*, ale udaje, że nie wie, już nie wierzy po średniowiecznemu, ale milczy jakby wierzył, żyje według zasad zgoła innych, niż średniowieczne, ale przyznać się do tych zasad nie może. Dusza człowieka staje się dziwaczną karjatydą, mieszaniną antyku i jego przeciwieństwa, i musi dźwigać na swych barkach obcy daleki jej świat, nienawistny i wrogi.

OGNISKO I PROMIENIOWANIE BAROKU

Powiada Chłędowski: „Moralna niewola, obawa cenzury kościelnej wpływała nader niekorzystnie na wszelkie objawy życia umysłowego, tak że w ciągu XVII-go wieku wytwarzała coraz to większą próżnię w literaturze. Z wyjątkiem dwóch większych poetów, Gianbattisty Mariniego i Alessandra Tassoniego..., ludzie obdarzeni wyobraźnią pisali tylko marne wierszydła. Wychodziły wprawdzie księgi, najczęściej tak duże, że trudno je podnieść z zaprószonych półek bibljotecznych, ale co te księgi zawierają? Kroniki rodzinne, w których niema słowa prawdy, gdyż celem autorów było otoczyć słynniejsze familje dymem kadzideł, wywody o herbach i rycerskich imprezach, teologiczne traktaty, których nikt dzisiaj już nie rozumie. A wszystkie te pisma były nadziane cytatami, inwektywami na ludzi żyjących, cichemi uszczypliwościami i wendetami pióra, które nigdy nie miały oglądać światła dziennego. Umysłowa próżnia pociągała za sobą próżnię charakterów, pychę, dziwactwa i brak jasnego poglądu na rzeczy, tak że wiek XVII możnaby pod wielu względami nazwać epoką zamarcia zdrowego rozsądku".

Słowo w słowo to samo dzieje się u nas: Niesiecki, jezuita i heraldyk, kataloguje „herby i familje rycerskie", rymopisy sławią Boga, cnotę i świętych pańskich w książkach o nagłówkach tak straszliwie barokowych, że mdło się robi od ich odczytywania. Pobożny Pasek daje autoportret człowieka tak marnego, że ta mieszanina talentu, ciemnoty, chytrości, głupoty, budzi głęboki smutek na samą myśl, co z takiego człowieka mogło było powstać w atmosferze wolności i światła. Zwycięski obrońca chrześcijaństwa, Jan Sobieski, umiera w Wilanowie z cynicznym niemal uśmiechem na ustach, gdy biskupowi Załuskiemu rzuca słowa: „Niech ogień spali ziemię po mojej śmierci, cóż mnie to obchodzi!" Jan Chryzostom Pasek, gdy po bitwie miał księdzu Piekarskiemu służyć do mszy, oczywiście, polowej, i chciał naprzód umyć zakrwawione ręce, usłyszał z ust pobożnego barokowego kapłana: „Nie wadzi to nic, nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego".

Sprzeczność na sprzeczności, kłamstwo, obłuda i fałsz, atmosfera, w której wszelkie kanalstwo panoszy się coraz bardziej, aż wreszcie uczniowie księży Chmielowskich i Baków ustalają najwyższą dla siebie i dla narodu mądrość stanu: Polska nierządem stoi. Rozbiory Polski to także barok, skutki baroku. I zaborcy i zabrani to ludzie epoki.

REMINISCENCJE

Ostatniemi czasy sporo się pisze o baroku, n. p. u Niemców, u Czechów, jakgdyby dla zrewidowania zbyt powierzchownego sądu o tym okresie, który pod względem politycznym i psychologicznym uważano wyłącznie za polityczną i psychologiczną reakcję przeciwko protestantyzmowi, za jezuityzm we wszystkich dziedzinach życia. Barok był dla przeciętnego obserwatora czemś zewnętrznem, ot kolumienką w ołtarzu, kapliczką świętego Jana nad wodą, jakąś starą rzeźbą... Tymczasem barok to człowiek, jego postawa wobec życia, prawdy, rzeczywistości. To nie tylko forma zewnętrzna, ale treść życia, często ignorowanie treści życia, tragiczne wypieranie się prawdy. Może dlatego barok staje się obecnie taki aktualny, że z całą okazałością powraca w postaci polityki, literatury i tych różnych faszyzmów i rasizmów, które nie rozwiązując żadnego z palących zagadnień, odsuwają je wszystkie na czas nieograniczony i przesłaniają sprawami wybitnie barokowemi. Np. we Włoszech faszystowskich mogło na chwilę wybuchnąć ostre niezadowolenie z polityki klerykalnej, ale natychmiast zorjentowano się, że korzystniej załatwić sprawę polubownie i oburzenie faszystów zamilkło na poczekaniu. W ojczyźnie Macchiavella jeszcze dziś, jak przed wiekami, wybiera się łatwiejsze, korzystniejsze, pożyteczniejsze i z ogromną łatwością rezygnuje się z zasady, jeśli się ją nawet miało. To jest barok, taki sam jak w Niemczech narodowo - socjalistycznych. Niegdyś sławiono w Niemczech piękno wierności wielkiej zasadzie; teraz panuje tam barokowa zasada zrzekania się nawet wolności dla siły.

Bierdiajew, mistyk emigracji rosyjskiej i pisarz tego pokolenia wielmożów rosyjskich, którzy wyzyskując masy ludowe, nie chcieli rozwiązać ani jednego zagadnienia społecznego czy politycznego i żyli najspokojniej w barokowej mieszaninie różnych sprzecznych prądów, powiada, że wracają wieki średnie. Czy tak jest istotnie? Prorokowanie jest zawsze rzeczą niewdzięczną; daleko łatwiej powiedzieć, co w danej chwili wysunęło się na czoło i tworzy rzeczywistość. Czy wrócą wieki średnie, nie wiemy, ale że już wrócił barok polityczny, to jasne. Znowu dusza ludzka zostaje skazana na milczenie, na niemówienie o tem, co ją boli, czego pragnie i co uważa za najcenniejsze dla siebie. W baroku usiłowano przekreślić wszystkie zdobycze ducha ludzkiego, utrudniającego panującym rządzenie i usamodzielniającym umysł ludzki: Kopernik i Galileusz byli dla baroku heretykami. Kumulowały się przeciwieństwa niepojęte: dobrowolne ubóstwo miało w samej tylko Francji kilka razy więcej ziemi, niż cały głodujący i zapracowujący się na śmierć lud francuski; głupi, tępy i wyuzdany Ludwik XV decydował o mierze wolności najmądrzejszych i najszlachetniejszych Francuzów. Baroko przeszło w rokoko, rokoko skończyło się rewolucją. Mądrość stara się rozumieć, do czego zmusza życie, głupota czyni zadość łatwej ambicji. Ale barok nie jest wieczny: wieczne jest tylko pragnienie wolności. Dusza ludzka jest niepodkupna w tej sprawie.

BAROK LITERACKI

Jest wieczny i pustką formy bogatej zagaduje zawsze ubóstwo ducha, brak wiary i bohaterstwa. Wspomniany przez Chłędowskiego Gianbattista Marino, poeta mierny i teoretyk poezji, wywodzi „że trzeba „titillare le orecchie dei lettori con la bizzaria della novità" („łaskotać uszy czytelnika dziwactwem nowinki"). To jest zasada baroku. Drugą zasadą Marino jest „accomodarsi al costume corrente e al gusto del secolo" („przystosować się do zwyczajów utartych i do smaku epoki"). Łaskotanie uszu rzeczami miłemi, sławienie sławnych i władzę mających, omijanie i zgadywanie każdego zagadnienia niemiłego, to już nie tylko Gianbattista Marino i nie tylko barok miniony, ale barok permanentny, gdy nie o to chodzi, jak tworzyć innym życie mocne, wspaniałe, wielkie i prawdziwe, ale jak tworzyć sobie sukces łatwy, szybki, przyjemny. *Titillare i accomodarsi*, żeby było i ładnie i wygodnie i korzystnie.

W swoim czasie przerażały niejednego „Wędrówki Joanny" i „Ludzie z wosku" Szelburg - Zarembiny, ale nie tem, że to zostało napisane w czasach nabrzmiałych tylu straszliwemi zagadnieniami, lecz tem, że te obrazki fantastyczne budziły taki niepojętny zachwyt w pewnych krytykach. Dopiero teraz przychodzi jakby spóźnione otrzeźwienie i miesięcznik „Droga" drukuje wnikliwe i mądre studjum Marji Koszyc - Szołajskiej o obu książkach Zarembiny, zakończone słowami: „Szkoda całego tworzywa, zużytego na dzieło, które nie jest ani kartą z przeszłości ni z teraźniejszości, ani krokiem naprzód. Nie jest też dziełem ponadczasowem w sensie ogólnym, światopoglądowym. Świat tworzony przez imaginację, przez nastrój, przez czary i magję rzeczy żywych i umarłych, nie odpowiada już psychice człowieka dzisiejszego. A tej cofnąć już się nie da. Z tego więc względu dzieło Zarembiny wydaje się chybione, więcej nawet: tragiczne w swej bezcelowości".

Bezcelowości? Niekoniecznie. Mówiono dużo o sejsmografizmie duszy poety. Zarembina jest niewątpliwie utalentowaną poetką i wyśpiewała bezdziejowość i pozadziejowość naszej epoki, jak nie potrafił uczynić tego nawet jej mistrz. Dla powodów, które byłoby warto ustalić, uchyliła się od rzeczywistości polskiej w bajkę, w fantastykę nieodpowiedzialną, w krainę, gdzie nie obowiązuje ani nasza logika powszednia, ani nasza moralność, zmuszająca do litowania się nad niewypowiedzianą nędzą dusz i ciał, trawionych głodem chleba i głodem wolności. Wincenta, Firmanty, Bydałek, Mauzolej, szczury, kruki... gdzie to jest? W Polsce, ale poza Polską. Wolno, oczywiście, pisarzowi, nie współczuć, nie interesować się niedolą epoki, wolno mu cieszyć się ładnemi fikcjami, ale czytelnik wie: to są fikcje. I wie: życie czeka nie na bajkę i malowaneczkę, ale na słowo, które tworzy, buduje, przeobraża.

ZŁUDZENIA BAROKU

Totalistom wszystkich baroków wydaje się, że dzieje są czemś zewnętrznem i że można im narzucać treść najwygodniejszą. Już to jest fatalnym i tragicznym w następstwach błędem, iż się nie wie, że dzieje świata są dziejami umysłów i serc. Pętanie pewnych duchów i charakterów może wydawać się rzeczą ogromnie celową i mądrą. Ale to jest złudzenie. Barok nie zlikwidował odrodzenia i nie przekreślił go: okaleczył duszę ludzką, pozamykał usta Koperników i Galileuszów na czas niejaki i został wre-

MARJA OSSOWSKA

WOLNOŚĆ NAUKI

Z tomu XXI (str. 346—8) „Nauki Polskiej", organu Kasy im. Mianowskiego, Instytutu Popierania Nauki, przedrukowujemy następującą informację:

Konferencja w Oksfordzie w sprawie obrony wolności akademickiej. Sierpień 1935 [1])

Tymczasowy Komitet Obrony Wolności Akademickiej, utworzony w Wielkiej Brytanji w październiku 1934 r. i złożony przedewszystkiem z profesorów i lektorów uniwersytetów brytyjskich, zwołał do Oksfordu na dzień 14 i 15 sierpnia 1935 r. konferencję, poświęconą sprawie wolności akademickiej. Zaproszenia zostały rozesłane do przedstawicieli różnych zrzeszeń, do różnych osób ze świata naukowego i nauczycieli.

„...jeżeli nauczyciele, pracownicy naukowi i wogóle intelektualiści mają naogół troszczyć się o zachowanie tych składników kultury, które poczytują za wartościowe — głosiło memorandum, rozsyłane wraz z zaproszeniem — muszą oni nie tylko zjednoczyć się w tej obronie, ale także poddać ściślejszej, niż dotąd, rewizji stosunek własnej pracy do społeczeństwa, pośród którego żyją. W przeszłości faktyczną słabość wpływów intelektualistów należało głównie przypisać ich izolacji od otaczającego świata. Pochłonięci czy to czystą nauką, czy nauczaniem dyscyplin tradycyjnych sądzili oni zazwyczaj, że na tem kończy się ich rola i że wolno im nie troszczyć się o to, w jaki sposób stosuje się wyniki ich badań ani, jak układają się dalsze losy ich uczniów. Odpowiedzialność za obecny stan rzeczy na świecie spoczywa w pewnym stopniu na barkach tych intelektualistów, którzy podtrzymują to nazbyt ciasne rozumienie własnych zadań. Dotyczy to specjalnie pracowników naukowych. Rozumne stosowanie wyników badań naukowych mogłoby doprowadzić do ogólnej pomyślności, takiej, o jakiej dawniej nie miano pojęcia. Stosowanie to tymczasem doprowadziło nas do świata, gdzie bieda, zniszczenie i strach panują dalej, t. j. panowały dotąd" (s. 8).

Zgodnie z treścią tego memorandum, konferencja obradowała nie tylko nad sprawą wolności słowa i wzajemnej solidarności w jej obronie, ale także i nad sprawą właściwego użytkowania nauki. Trzy sesje, odbyte w ciągu 2 dni zjazdowych, były kolejno tym trzem tematom poświęcone.

Pierwszemu posiedzeniu przewodniczył prof. J. L. Myres, historyk z Oksfordu, ten sam, który w czasie obchodu stulecia brytyjskiego Stowarzyszenia popierania nauki wygłosił litanję na cześć odkrywców i uczonych[2]).

Mówcy stwierdzali zgodnie, że Wielka Brytanja, pod względem swobody słowa, znajduje się jeszcze we względnie szczęśliwem położeniu: „Dzieje się nam jeszcze w tym kraju nazbyt dobrze, byśmy mogli być bardzo nietolerancyjni" (str. 12). Ta wolność wszakże jest już w niebezpieczeństwie, zwłaszcza w uniwersytetach prowincjonalnych (mówca nie ma tu na myśli uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge, gdzie swoboda jest stosunkowo największa), oraz w szkołach średnich. Wolności tej zagrażają nie tylko represje w odniesieniu do ludzi, zajmujących już pewne stanowiska, ale także i staranna selekcja ludzi „nie wyglądających niebezpiecznie" przy powoływaniu na te stanowiska. Dzięki tej selekcji walka o wolność jest przegrana częściowo już w chwili startu.

Te fakty zmuszają ludzi nauki do zajęcia czujnej postawy. Nie czas tworzyć organizacje, gdy walka będzie już jawnie wypowiedziana. Trzeba zawczasu mieć na oku tych, których można będzie zmobilizować przy pierwszej okazji.

We Francji, jak informuje zebranych obecny na konferencji delegat francuski, zorganizowany został jeszcze w 1934 r. „Komitet Pogotowia" (Comité de Vigilance) intelektualistów francuskich. Weszli do niego, m. i.: Langevin, Rivet, Perrin i żyjąca jeszcze naówczas Skłodowska - Curie. Komitet ten, niezależny od jakichkolwiek ugrupowań politycznych, miał w 1935 r. 6.000 członków. Należeli doń ludzie nauki, inżynierowie, prawnicy i t. d.

Jak podkreśla mówca francuski, niesłusznie mniema się czasem, jakoby wszelkie wypowiadanie się, przeciwne polityce swego kraju, miało narażać na represje. „We Francji, nauczyciel, który jest rojalistą, bonapartystą czy faszystą, nigdy nie był przedmiotem prześladowań" (s. 20). W tym kraju, tak jak i gdzieindziej, dwa przedewszystkiem tematy są dla niego „tabu", dwóch spraw dotykać mu nie wolno: struktury ekonomicznej społeczeństwa i wojska. „Łamanie tych tabu budzi zgorszenie w Anglji, potępienie we Francji a karane bywa śmiercią w innych krajach: ale charakter tego tabu jest wszędzie ten sam" (ibid.).

Dwa pozostałe posiedzenia zjazdu, jedno pod przewodnictwem humanisty prof. Lascelles Abercrombie, drugie pod przewodnictwem przyrodnika prof. Juljana Huxley'a były niemniej żywe, niż posiedzenie pierwsze.

W posiedzeniu, poświęconem międzynarodowej solidarności ludzi, zagrożonych w wolności słowa, brali udział przedstawiciele Bułgarji, Włoch, Hiszpanji, Ameryki i Francji. Każdy z nich zdawał sprawę z przejawów ucisku w swoim kraju. Mówiono ponadto obszernie o losie intelektualistów niemieckich, o tem, co dotąd dla nich i dla innych emigrantów zrobiono i co jeszcze zrobić należy.

Ostatnie posiedzenie, przy współudziale przedstawicieli świata techniki oraz delegata Z. S. S. R., było poświęcone przedewszystkiem dyskusji nad marnowaniem zdobyczy nauki w obecnym ustroju społecznym. „Nauka będzie się nieuchronnie marnować w rozmaity sposób — mówił w swoim zagajeniu J. Huxley — póty, póki indywidualna rywalizacja, mająca własny zysk na widoku, rządzić będzie głównie naszem życiem gospodarczem, a międzynarodowa rywalizacja będzie głównym czynnikiem w życiu międzynarodowem" (s. 47). Zdobycze nauki, jak zaznaczał inny mówca, „podkreślają coraz to wzrastającą konieczność ukształtowania nowego społeczeństwa, gdzie nauka i technika pracowałyby pod kontrolą grup, planujących pracę w interesie wszystkich obywateli" (s. 51). W destrukcyjnych mocach nauki, zastosowanej do przemysłu wojennego, pracownik naukowy winien orjentować się lepiej niż ktokolwiek inny. Na nim też spoczywa szczególna odpowiedzialność, na nim spoczywa obowiązek głośnego o tych sprawach mówienia.

Wszystkie trzy posiedzenia zjazdu zostały zakończone jednogłośnym wyborem komitetów, którym powierzono obronę wolności akademickiej, pomoc terroryzowanym kolegom i pieczę nad użytkowaniem dorobku nauki.

Książeczkę, zawierającą sprawozdanie ze zjazdu, zaopatrzono na s. 80—94 w szczegółowy opis różnych konkretnych wypadków represji, których doznali ostatnio za przekonania obywatele brytyjscy, obywatele Stanów Zjednoczonych i Japonji.

[1]) Na podstawie sprawozdania: Report of the Conference on Academic Freedom. Oxford, August 1935. Publ. for the Academic Freedom Commitee by W. Heffer and Sons Ltd. Cambridge, s. 94.

[2]) P. Nauka Polska, XV, s. 372—3.

---

szcie zlikwidowany przez oświecenie, które poodrabiało zaległości przymusowe kosztem zbyt wielkim. Pisarz francuski, Paul Desjardins, przeraził się w swoim czasie, iż André Gide mógł był powiedzieć: „Je me désinteresse de mon salut" („Nie interesuję się swem zbawieniem"). Ale czy nie jest straszliwsza praktyka tych pisarzy, którzy nie interesują się zbawieniem społecznem miljonów tych ludzi, którzy czekają na ich słowo, na imię swej niedoli i imię ratunku?

Carlo Sforza napisał, iż nigdy nie będziemy wiedzieli, jakie talenty i jacy genjusze zapłacili życiem za barbarzyństwa wojny światowej, która poczęła się w baroku XVII i XVIII wieku. Dodajemy, iż nigdy nie dowiemy się, czy jeden z tych genjuszów, zamordowanych w wojnie światowej, nie byłby może dał światu nieskończenie więcej, niż dać mu może ta dyktatorska przeciętność, umiejąca jedynie przekreślić to w człowieku, co utrudnia panowanie i rządzenie uproszczone po spartańsku. Ale jeszcze mniej wiedzieć będziemy, ile mądrego, płodnego i cennego przekreśla i niszczy wszelka cenzura, wszelkie ograniczenia duszy ludzkiej, pomniejszenie jej do rozmiarów politycznego komfortu rządzących.

Rytmika dziejów nie zna tak skutecznej kastracji duszy ludzkiej, takiej eunuchizacji człowieka, aby człowiek zrzec się mógł za siebie i za potomstwo swoje umiłowania wolności. W Polsce tak bardzo indywidualistycznej, jak mało który kraj, jest to beznadziejniejsze niż gdziekolwiek indziej. Forma baroku utrwaliła się tu bardziej, niż w innych krajach, ale zagadywanie rzeczywistości przez literaturę fikcyj fantastycznych i ładnie zwerbalizowanych obrazków, nie zdało się na nic. Nie zdało się też na nic szkalowanie ludzi spragnionych najwyższego dobra duchowego: wolności. Po baroku idzie oświecenie.

Paweł Hulka-Laskowski

WOJNA DOMOWA W HISZPANII



Na armacie wojsk gen. Franco żołnierze zawiesili krucyfiks

(„Gazeta Polska" z dnia 8. X. 1937)

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze..."

PAULINA SANDAUEROWA

PORĘBOWICZ

Jak pisać objektywnie o kimś, kogo się podziwiało i kochało, i poddać go chłodnej analizie? Bo z profesorem Porębowiczem zszedł do grobu człowiek, który łączył w sobie mózg uczonego z sercem poety, i my wszyscy, ta nieliczna garstka, zbierająca się codziennie o 3-ciej w XIII-tej sali gmachu starego uniwersytetu lwowskiego lub w małym lokalu seminarjum przy górnej ulicy Długosza, ulegała przemożnemu czarowi, jaki roztaczał wokoło siebie ten drobny, niepokaźny napozór człowiek. Skuleni w zimnych, nieopalonych salach — była to zima 1917 — niejednokrotnie zapominaliśmy o grozie wojennej zawieruchy, wsłuchani w cichy głos Mistrza, gdy roztaczał przed nami przepych Ariostowskiej oktawy lub słowami Wawrzyńca Medyceusza przypominał, że „di doman non c'è certezza" („niema pewności jutra"). Wykładał wówczas literaturę włoskiego odrodzenia, odmalowując z jednej strony niezwykle plastycznie i szczegółowo historyczne i kulturalne tło epoki, z drugiej zaś opierając się prawie wyłącznie na dziełach, które cytował we własnym przekładzie. Nie wygłaszał nigdy sądów ogólnikowych ani ocen zamkniętych w gotowe formułki, nie lubił też doszukiwać się wpływów, źródeł i zapożyczeń tam, gdzie nie były całkiem jasne i wyraźne.

Po Odrodzeniu przyszła kolej na Barok, na słońcem Południa skąpaną kanzonę prowancką, na lirykę przeddantejską, mistyczną baśniowość legend bretońskich i staro - francuską epopeę rycerską, łączącą w sobie naiwną rubaszność z surową ascezą. Do każdej epoki, do każdego rodzaju literackiego zastosowywał prof. Porębowicz tę samą metodę: szczegółowo i z głęboką naukową ścisłością odmalowane tło epoki i przepięknie poetyckie przedstawienie dzieła; ocenę krytyczną podawał jakby mimochodem; wynikała właściwie już z samego wyboru. Można się w tej metodzie dopatrywać wpływu teoryj Taine'a o zależności dzieła od środowiska i epoki; myśmy tylko jedno widzieli: że otwierają się nam oczy na prawdziwe piękno poezji. Nie ograniczał się zresztą wyłącznie do literatury epok minionych, chociaż nią raczej się w ostatnich 15 latach zajmował: dwa półrocza seminaryjne poświęcił studjom nad liryką francuskich symbolistów, podkreślając szczególnie jej walory muzykalne.

Jakże nie wspomnieć wreszcie choćby w paru słowach o „Lectura Dantis"? Troje nas było, których wiódł — niczem Wirgiljusz wielkiego Florentczyka — po szczeblach dantejskiej tercyny przez Piekło i Czyściec w gwiezdne przestworza Raju. Siadał z nami w ławce, komentował kwestje historyczne i rzeczowe, rozwikływał misterny splot myśli scholastycznych dociekań św. Tomasza z Akwinu i mistycznych uniesień mnichów z Saint - Victor. Ani przez chwilę jednak nie przytłoczył uczony komentarz piękności samego dzieła: dla nas Paolo i Francesca pozostaną kochankami, którym „Galeotto fu il libro e chi lo scrisse" („księga i pisarz Galeottem byli"), a Guido Guinicelli „il padre mio, e degli altri miei miglior, che mai rime d'amor usar dolci e leggiadre" („mój rodzic, rodzic najlepszych na ziemi, słodkich i lubych miłosnych pieśniarzy").

Niech poeta jednak i rozmiłowany w pięknie znawca literatury nie usuwa w cień uczonego filologa. Bo wykład gramatyki historycznej czy też językowa analiza starego tekstu, prowadzone przez prof. Porębowicza, nabierały całkiem swoistego charakteru. Ożywiały się stare etymologje i dawno przebrzmiałe wyrazy; wiew poezji przenikał skostniałe formułki, rozumieliśmy, że język, to twór żywy i jako taki w ciągłej będący przemianie, a przecież stałym podległy prawom. Doszukiwanie się zaś tych praw w piśmienniczych zabytkach epok minionych stało się dla nas pewnego rodzaju namiętnością, której oddawaliśmy się z cichą pasją.

W r. 1922 uniwersytet wileński powołał prof. Porębowicza, by stworzył w jego murach ośrodek nauk romanistycznych, jak to ongiś uczynił we Lwowie. Prosiliśmy go wtedy, by nas nie porzucał; uległ prośbom i został. Ale wnet potem zdrowie zaczęło mu niedopisywać: rozwijająca się choroba oczu, a potem i stępienie słuchu, utrudniały coraz bardziej pracę na terenie seminarjum. Lecz duch nie uległ niedomodze ciała: z tych czasów pochodzi obszerne studjum o średniowiecznej literaturze łacińskiej, jedyne w swoim rodzaju, które ukazało się, niestety, tylko w streszczeniu w II. tomie zbiorowego wydawnictwa „Wielka Literatura Powszechna". Wkońcu jednak musiał się wycofać z życia uniwersyteckiego w zacisze domowe; pożegnaliśmy go w r. 1933, urządzając mu w hołdzie, dla uczczenia 70-lecia urodzin, zjazd polskich kół romanistów we Lwowie i poświęcając mu wszystkie prace, wygłoszone na tym zjeździe.

W ciszy ostatnich lat przyszła znowu do głosu wielka miłość jego życia — Dante: w r. 1935 wydaje tłumaczenie „Nowego Życia". Tak pożegnał się z nami człowiek, który nas nauczył poznawać i kochać piękno.

Z POEZJI FRANCUSKIEJ

JEAN COCTEAU

* * *

W chwili gdy się zanurzasz w sennych fal odmęty,
Zwlekasz, boisz się czegoś;
Czyż w pościg płynącego moich snów okrętu
Ku takim samym brzegom.

Lecz sen mój od twojego zdala się umieszcza;
Gdy się już dzień uziemi,
Przebywasz wtedy ze mną w dziecinnych przedmie-
[ściach
Wśród mych przyjaciół cieni.

Przechodzisz poprzez lasy, ciszę zagajnika,
Ścieżki bez śladu krzywdy;
Gdy ty zaś w snu drętwotę szczelnie się zamykasz,
Z tobą nie bywam nigdy.

Pragnąłbym wtargnąć w twoje nieznane marzenia,
Być wśrd nich stałym gościem.
Drżałbym wtedy, że słońce wznosząc się nad ziemię
Otworzy cię naroścież.

(„Plain - Chant")

ANDRÉ GIDE

BALLADA O DOBRACH NIERUCHOMYCH

Kiedy rzeka zaczęła przybierać,
Byli tacy, którzy schronili się na górze;
Inni, którzy powiedzieli sobie: muł użyźni nasze pola;
Inni, którzy powiedzieli sobie: klęska;
Inni, którzy nic sobie nie powiedzieli.

Kiedy rzeka już wezbrała,
Były miejsca, gdzie jeszcze widać było drzewa,
Inne, na których widać było dachy domów,
Dzwonnice, mury i dalekie pagórki;
Były miejsca, gdzie już nic nie było widać.

Byli wieśniacy, którzy spędzili swoją trzodę na
[wzgórza;
Inni, którzy łodzią wywieźli swoje dzieci;
Byli tacy, którzy zabrali drogocenności,
Jadło, zapisane papiery i wszystko to, co stanowiło
[wartość pieniężną.

Byli tacy, którzy nic nie zabrali.
Ci, którzy uciekli w barkach niesionych prądem,
Zbudzili się na ziemiach nieznanych zupełnie.
Byli tacy, którzy zbudzili się w Ameryce;
Inni w Chinach, a inni na peruwiańskich wybrzeżach.
Byli tacy, którzy się nigdy nie zbudzili.

(„Les Nourritures terrestres")

PAUL ELUARD

BYĆ

Czoło jak zagubiona chorągiew
Włóczę cię kiedy jestem sam
W zimnych ulicach
Ciemnych pokojach
Narzekując na nędzę

Nie chcę wypuścić
Twoich dłoni jasnych i zawiłych
Zrodzonych w szczelnem zwierciadle moich dłoni

Wszystko inne jest doskonałe
Wszystko inne jest jeszcze bardziej bezużyteczne
Niż życie

Wydrążaj ziemię pod twoim cieniem

Obrus wody w pobliżu łona
Tam utopić się
Jak kamień.

(„Les yeux fertiles")

BENJAMIN PÉRET

NA KOŃCU ŚWIATA

Kiedy rozpalone węgle uciekają jak przerażone lwy
[wgłąb kopalni
mączne ptaki
wloką się jak znaczki pocztowe na listach zwróco-
[nych nadawcy
a roztrzęsione schody
durne jak kiełbasy którym zjedzono już kwaszoną
[kapustę
czekają aż się rozwidni
aż jabłka dojrzeją
aby zawołać dorożkarskiego konia
co gra w chowanego ze swoją dorożką
i zniszczy ją
zanim palce u nóg dozorców staną się szynami kole-
[jowemi.

(„De derrière les fagots")

JULES SUPERVIELLE

* * *

Wieś układła się cicho jak zmęczone stado
Krów do spoczynku, w polu pełnem mgły i wrzosów;
Wóz na błotnistej drodze czekaniem osiada
I w kącie mur kamienną drogą idzie boso.

Tylko drżących motyli lot chwiejny, niepewny
Bezwiednie mąci spokój sąsiednich zagonów;
W dali kopice siana świeżego wyległy,
Pagórki opalowe śpią już pokryjomu.

Ciche omdlenie zbocza nad polem zielonem,
W mgle lekkiej dachy drzemią, zdmuchnięte obrazy.
I na perłowem niebie tkwi obłok strudzony
Samotnem wałęsaniem w dymach krajobrazu.

(„Poèmes")

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

JANINA BRZOSTOWSKA

SPRAWY NAJWAŻNIEJSZE

Fragment z powieści „Kobieta zdobywa świat"

W połowie czerwca dzienniki poczęły się szeroko rozpisywać o będącym nareszcie w toku procesie Jagmonta. Spodziewano się wyroku skazującego na więzienie, więc z rozpamiętywań Ewy znów nie chciała ustąpić przykra, bolesna myśl o niesprawiedliwości i krzywdzie, jaka dzieje się temu człowiekowi. To właśnie on, który miał tak mocną wolę życia i potrzebę jak najbardziej twórczego w niem udziału, miał być pozbawiony wolności! W murach więzienia wyznaczano miejsce jego żądzy wcielenia w rzeczywistość najszlachetniejszych zamierzeń!

Miał wspaniałą zdolność czynu społecznego, i w tej dziedzinie, party wewnętrznym przymusem, wypowiadał się, organizował, budował. Mówił Ewie niedawno, jak to jeszcze w szkole pracował nad sobą, z przejęciem wzbogacając i podnosząc swe człowieczeństwo. Nie dawał zbijać się z tropu, nie odstępował od swych przekonań. Czynił wrażenie człowieka, który wie, że ma ważne zadania do spełnienia, i którego nic od nich nie oderwie.

A oto teraz przedstawił jej się w całym przerażliwym ogromie osamotnienia, wśród tych ludzi, którzy pragnęli być sędziami jego postępowania.

Przyszło jej na myśl, że pomimo wielu z nim rozmów, nie zna właściwie, naukowego punktu widzenia idei, którym poświęcił swe życie. Przy trzeźwości i bystrości życiowej, które towarzyszyły mu zawsze, studjował z zamiłowaniem nauki ekonomiczne, a w ostatnich czasach radził jej przeczytać wiele ciekawych książek z tego zakresu, aby zdobyła perspektywę w głąb życia społecznego. Były to książki przeważnie „problemowe", śmiało stawiały i rozwiązywały aktualne zagadnienia.

I oto, gdy odłożywszy inne zajęcia, zabrała się do nich, odsłoniły przed nią nowe możliwości pracy, w jakiej dotychczas nie brała udziału.

Stanęło przed nią ważne zadanie: przezwyciężenia w świadomości balastu narzucanych ustawicznie przez otoczenie pojęć i nadania pracy głębokiego sensu społecznego. Sens ten widział jasno Piotr i sam przez to wyżej stał od mieszczuchów, egoistycznie zajętych tylko temi sprawami, które zapewnić im mogą dobry stan interesów i dać jak najwięcej płytkich przyjemności. Ich to sobkowskiemu indywidualizmowi rzucał wyzwanie.

W nienawiści do mieszczańskiego trybu życia, do mieszczańskiej ideologji i wygodnictwa, wyczuwała swoje podobieństwo do niego. W rozmowach z nim mogła podzielić się każdem spostrzeżeniem, każdem uczuciem, które dotychczas tylko samotność pozwalała ustrzec przed wyśmianiem ludzi kpiących z wszystkiego, co dla nich jest obce i niepojęte. Teraz kształcąc się w podanym przez niego zakresie, coraz lepiej rozumiała jego słowa, czuła ich wagę i czuła, jak praca jego była potrzebna, jak miljony ludzi czekało na jej wyniki.

Tak, pod wrażeniem ciosu, który uderzył w Jagmonta, dostrzegała świat o wiele szerszy niż ten, jaki był jej znany dotychczas.

Gdy wychodziła się przejść, przypominała sobie wrażenia pierwszej młodości, kiedy to zapach wiosennego wiatru skłaniał do bujnych marzeń i pomagał z niewielu doświadczeń krótkiego życia wysnuwać wnioski, jak ułoży sobie przyszłość, co zdziała, gdy ukończy szkoły, jak będzie zdobywać świat i ludzi, aby było im lepiej. Nie — nigdy o tem nie zapomniała, chociaż właściwie nie wiedziała dokładnie, jaką wybrać do nich drogę. Czuła wielkość zadań, które ją czekają. Lecz cóż się działo później? Ileż to razy omotywały ją sieci, których istnienia nie przeczuwała?

Gdy przypomniała sobie poznanie z Krzysztofem, pierwsze z nim rozmowy, uśmiechnęła się. Jakże mało znała wówczas życie, jak naiwnie na nie patrzyła — —

Stała na wzgórzu. Przedwieczorna godzina. Robotnicy zmęczeni, zdyszani, wracali chwiejnemi nieco po pracy krokami z pola do domów. Ściszony turkot wozów z drogi poniżej przecinającej wzgórza dochodził aż tutaj. W dole lśniąca rzeka półkolem opasywała miasteczko i Ewa odszukała w niem okna domu, w którym mieszkali starzy rodzice Krzysztofa wraz z jej synem. Zdaleka, myślą przesłała im pozdrowienie.

Miasteczko, zapadnięte w bujnym rozroście ciemnozielonych drzew i kipiące bukietami ogrodów, było ubogie. Więcej w niem miejsca zajmowały małe, na niebiesko i biało malowane domy, niż jednopiętrowe kamienice. I widok tych niewielkich lepianek przy ciasnych podwórkach przypomniał jej słowa Piotra — często o nich mówił. Wszystkie jego myśli związane były z życiem, które ją otaczało. W małych izbach tych mieszkań dotychczas jeszcze najważniejsze kwestje leżały odłogiem, pomimo, że myślano o nich, że o nie walczono: praca — i wypoczynek, płaca — i wydatki, odżywianie — i sprawa mieszkaniowa. O wszystko trzeba walczyć, ale nie osobno, na własną rękę, bo to do niczego nie prowadzi, lecz w związku z organizowaniem wszystkich sił do pracy nad budowaniem życia w nowym zupełnie przekroju.

Ogromne białe chmury żaglowały po przejrzystem niebie lekko i bezszelestnie. Znała je dobrze, przynosiły letnie, upalne dni. Lecz nie brała w siebie radości lata. Sama ze swą rozterką pytała: cóż spełniłam w życiu? Nie o sobie myśleć powinnam — —

Podeszła ku kępie zielonych krzewów i usiadła na stoku wzniesienia. Coraz nowe myśli ją przejmowały, przenikały niepokojem.

Odpadały nieodwołalnie słowa wierzeń i przesądów, słyszanych od lat najwcześniejszego dzieciństwa. Życie szło naprzód, a tyle było w tem dążeniu wielkości nowych pojęć, jasności nowych perspektyw. Nie wolno oglądać się wstecz. Wszyscy ci ludzie, którzy nieraz boleśnie wkroczyli w jej życie, którzy kiedykolwiek krzywdzili ją i niesłusznie sądzili, nie wywoływali teraz cierpień ani gniewu. Bo właśnie dzięki przebytym cierpieniom poznała wartość życia, wartość pracy i miłości. I zrozumiała, jak niezmierne znaczenie posiada myśl człowieka, tworząca czyny.

Niewiadomo jeszcze, co za los czeka Jagmonta. Jakkolwiek się stanie, w otaczającej ciemności wskazał jej drogę, której oddawna szukała. Teraz, gdziekolwiekby się znalazła, życie jej nie byłoby puste. I tu, w Jodłowej, w wielkiem czy małem mieście, na wsi czy w fabrycznej osadzie, w Niezłowie nawet, można było pracować tak, jak pracował Piotr.

Była dobrą żoną, dobrą matką, i miała prawo być wiernym swym przekonaniom człowiekiem, miała prawo pragnąć, aby przyjąć ją zechcieli w swoje szeregi budowniczowie jutra. Z maruderami nie chciała pozostawać wtyle.

Gdy tylko uświadomiła to sobie, dawno nieznany spokój ogarnął całą jej istotę. W zapamiętaniu głębokiem nie dostrzegła, że na zachodzie, spoza garbu zielonej ziemi wysunął się kłąb ciemnych chmur i obejmować począł coraz większą przestrzeń poszarzałego nagle nieba. Wstała, wyprostowała się, głębokim oddechem wciągnęła w płuca świeżość ochłodzonego powietrza i poczęła schodzić ze wzgórza.

Rodziły się w niej uczucia nieznane dotąd — podnosiły w żyłach tętno krwi, napierały na serce — aby zdolne się stało do walki, aby nabrało mocy.

MICHAŁ CHMIELOWIEC

ROZWAŻANIA O POEZJI

„Porocznicowe rozważania" zatytułował Kaz. Wyka swój artykuł w jednym z ostatnich zeszytów „Marchołta". Miał na myśli rocznicę Brzozowskiego i „rozważania" są fantazją na temat: coby powiedział Brzozowski o współczesnej literaturze polskiej? Więc podejście do literatury i sąd nad literaturą od strony idej przez nią reprezentowanych.

Moje „przedrocznicowe (1918—1938) rozważania" nie przeczą rozważaniom Wyki, ale je uzupełniają, także sądzą, jednak według kodeksu estetycznego, a nie moralnego. Wyroki tego sądu nie są twierdzeniami, bo nie podpiera ich argumentacja (żeby udowodnić to, co napiszę, musiałbym wydać grube tomisko p. t. „Obraz współczesnej poezji polskiej").

Futuryzm

Zdanie: epoka nasza jest epoką liryczną w całem tego słowa znaczeniu, jest prawdziwe dlatego, że powojenna literatura polska właśnie w liryce odeszła od wzorów przeszłości najdalej i najwcześniej. Pierwszy krok zrobił futuryzm. Był to krok śmiały, lecz fałszywy: było to naskórkowe nowatorstwo, nic dziwnego więc, że nuż ześlizgnął się z bżuhuf burżujskich, nie wypruwając z nich flaków. Co gorsza, futuryzm polski porał się importem idej zagranicy, małpował, hałasował, ale nie tworzył. Toteż nic nie wniósł, bo odwaga futurystów i ich umiłowanie nowości, jako wartości osobiste, zostały przy nich, pośrednio tylko wpływając na losy poezji w Polsce.

Skamander, sp. i synowie

Tymczasem na prawicy literackiej skrystalizowała się i energicznie sprezentowała swoje wartości nowa grupa poetycka, Skamandryci. Doskonali interpretatorzy nieswoich i nienowych recept, wirtuozi starych form i treści. Jak wszyscy poeci mało samodzielni, są mistrzami stylizacji. Świetnie pozują na naiwność, sentyment (Tuwim), patos (Lechoń), werwę (Wierzyński), młodopolski Weltschmerz. Wszystko to podane w tradycyjnych formach wersyfikacyjnych, którym nadają dużą giętkość, którémi posługują się z imponującą nieraz swobodą.

To wystarcza do stworzenia dobrej poezji, ale nie porywa, nie daje „nowego dreszczu".

Co zrobili poeci Skamandra dla odnowienia swojego rzemiosła? Mało, o wiele za mało. Nowostki z drugiej ręki: asonans z zagranicy, wiersz toniczny odziedziczony po Kasprowiczu, słopiewnie z dadaizmu, „naturalizm" poetycki z — użyjmy pars pro toto — Rimbaud'a, obrazoburstwo z futuryzmu.

Istotną ich zdobyczą jest nie tyle stworzenie, ile rozwinięcie prostej, niekoturnowej poezji codzienności, walka z patosem do którego zresztą raz-poraz wracają: Wierzyński, nawet Tuwim), walka z „poetycznością", jarmark rymów.

Prywatnem osiągnięciem Tuwima jest jego „słowowierstwo", wynalazczość leksyczna, która, choć rzadko manifestuje się z całą dobitnością, wysuwa go na czoło grupy Skamandra.

Mało, o wiele za mało.

Z poetów, związanych ze Skamandrem, ani weterani Staff i Leśmian, ani uprawiająca wciąż nieznośny infantylizm Iłłakowiczówna, nie piszą nic, coby usprawiedliwiało ich obecną aktywność twórczą. Także Zegadłowicz.

Jasnorzewska? Subtelne minjatury, wyrafinowana metaforyka; szykowna, lecz pusta poezja. Choruje na niedokrwistość tematyki, anemję „poruszanych" spraw.

Młodzi kontynuatorzy Skamandra nie wydobyli się spod uroku swoich mistrzów, których wprawnie podrabiają, ale nie nazywać ich epigonami, bo choć nieoryginalni, szukają siebie. Bąk w żarliwym katolicyzmie, Karpiński w próbach upoetyzowania kalamburu w ciekawej fantastyce, najdalsi od Skamandra Miłosz i Łobodowski w mocnym artystycznie katastrofizmie. Zapowiedzi, zadatki.

Awangarda wreszcie...

Reakcją przeciw tradycjonalizmowi Skamandra była krakowska awangarda. Rewolucyjne, płodne idee Peipera. Metafora teraźniejszości. Metaforyzm („hipertrofja przenośni"?), rozpalający do czerwoności każdą linijkę wiersza, jako wyraz silnych, ale opanowanych emocyj.

Nowa wersyfikacja, oparta na zasadzie ładu organicznego i „rytmu własnego". Nowa konstrukcja poematu. Próby odrodzenia epiki. Nowoczesna tematyka. Miasto, masa, maszyna. Zupełnie oryginalny stosunek uczuciowy do nich.

To nie mało.

A jednak poezja awangardy nie umiała wybrnąć z impasu.

Jest za trudna, nie ma rezonansu (poczytność jej niewątpliwie wzrasta, ale bardzo powoli), jest poezją, jeśli już nie dla dwunastu, to w każdym razie dla niewielu dwunastek. Jest ciągle jeszcze poezją przyszłości. Nie sprawdza się na terenie teraźniejszości. I z punktu widzenia tej teraźniejszości mają rację ci, którzy krzyczą: „To sztuka dla wtajemniczonych" — i ci, którzy mówią: „Nie zapomi-najmy, że wogóle piszemy dla małej grupki inteligencji, że szerokie masy odcięte są od t. zw. dobrej literatury. Czy wolno nam tak skromny zasięg ograniczać jeszcze? Z tak małej grupki odbiorców poezji wydzielać jeszcze elitę? Zapewnienia wasze o przyszłem zwycięstwie awangardy mają charakter mocno zabarwionych subjektywizmem, choć nie bezpodstawnych, hipotez. Może uznamy was jutro. Dziś jesteście dla nas tylko prekursorami niesprawdzonych idej".

Zakończenie, trochę patetyczne

Asekuruję się przed zarzutami: pesymistyczna ocena współczesnej poezji polskiej nie wynika u mnie z tak częstego kompleksu niższości, ani wobec dawnych epok, które w przewrotnej perspektywie historji olbrzymieją, oddalając się, ani wobec zagranicy.

Impertynencje pod adresem współczesności dyktuje mi moja rozbrykana fantazja, uparcie, natarczywie, natrętnie podsuwa mi marzenia o wielkiej, bardzo wielkiej poezji polskiej. Jak ją mieć? Sposób jest prosty: Zbudzić w sobie ochotę na wielkość. Wielkie apetyty popychają do wielkich zaspokojeń.

TADEUSZ BANAŚ

NA ZAKRĘCIE HISTORJI

Teodor Parnicki: Aecjusz, ostatni Rzymianin. Powieść historyczno-biograficzna. Warszawa. „Rój" 1937.

Fragmentaryczna faktura tej powieści sprawia, że czytelnik po kilkunastu stronach lektury nie wchłania bez reszty w napiętą świadomość tego mnóstwa zdarzeń, spraw, ludzi, jakie mu unaocznia autor. Jesteśmy w nieznanym świecie, obcym i odległym, wśród spraw niby zrozumiałych, oczywistych, realnych, a jednak nie orjentujemy się w terenie akcji odrazu, brak nam jakiegoś sezamowego zaklęcia, które rozświetli łamigłówkę ekspozycji. Dopiero później karta po karcie ten nieodgadły początkowo świat zarumienia się życiem, ludzie i rzeczy obrastają ciałem, tężeją wewnętrznym sensem, krystalizują swą rację istnienia. Luźne fragmenty łączy szew pragmatyzmu. „Aecjusz" z zapowiadanej „piły" historycznej zmienia się w lekturę nietyle porywającą, co ciekawą i niewątpliwie dobrą.

Już ma się pod koniec starożytnemu światu; od wschodu, od północy, zachodu nacierają na Romę przybysze obcy, Ostrogoci, Wizygoci, Wandale. Hunowie zgliszczami znaczą marszrutę swych wędrówek. Zachodnie rzymskie cesarstwo, do wczoraj władające światem, staje się tylko nazwą, której dźwięk nikogo już nie lęka; koronę, bogactwa, stanowiska zdobywa się nie zasługami i cnotą, lecz zbrodnią i rozbojem. Imperatorzy cieszą się władzą po dni kilka, a z królewskiego zamku idą w pętach, w orszaku następców lub giną na arenach. W tym klimacie niepewności i zamętu błyskają meteoryczne sławy wodzów i polityków, mężów stanu, świętych. Jednem z takich zjawisk jest Aecjusz. Jego karjera jest anegdotą powieści. Wśród wojen, zamieszek, zamachów, zdradą, intrygami, morderstwami wspina się Aecjusz na coraz wyższe stanowiska. Nie on jeden jest taki. W gronie ludzi małych i nikczemnych jego moralność nie odbija i nikogo nie plami, owszem Aecjusz góruje nad otoczeniem inteligencją i tem, co go zrobiło postacią historyczną: stygmatami wielkości. Karjera Aecjusza nie intryguje nas i nie dziwi zbytnio, może stępiły nam smak etyczny karjery dzisiejszych wodzów — uwagę i serce poświęcamy obrazowi tła historycznego. Poza historycznem dzianiem, którego mnogość przelewa się poza rozdziały powieści, jest w książce Parnickiego tak sugestywnie i tak pełnokształtnie odtworzona schyłkowa moralność Rzymu, tak wnikliwie zanalizowany zakręt historji, że zapominamy o erudycji autora, a całkowicie oddajemy się urokowi opowiadania. W „Aecjuszu" ginący Rzym różny jest od tego, jaki poznaliśmy w czasie lekcyj historji i łaciny. Po starożytnej „virtus" i wspomnień nie zostało — rozkład moralny społeczeństwa i jednostek rozrasta się na pożywce ogólnego hartu i braku równowagi społecznej. Moralność chrześcijańska jest pojęciem, które nie ma w ówczesnej rzeczywistości żadnego odbicia. Prawa boskie to tylko rytuał, wiara w Chrystusa to nałóg, nie przykry i nie wiążący. Imię Boże to prawda łotrostw, kłamstw i podłości. W galerji postaci historycznych niema człowieka, którego wdzięk moralny mógłby nas zjednać dla tego świata. Znajdujemy się w spelunce łotrów, gdzie nie trzos, lecz duszę trzeba chronić przed ich plugawemi rękami. Toteż jedyną postacią, do której odczuwamy coś w rodzaju sympatji i życzliwości, jest nie na fidjaszową miarę skrojony Bonifacjusz.

Całość epoki nie wyszła w książce Parnickiego, nie wyszła, bo jej nie realizowano prawdopodobnie rozmyślnie. Szereg historycznych zdarzeń poza wzmiankami nie znalazł w książce miejsca; autor uwzględnił i rozbudował tylko te, które pozwalały na całkowitsze odkrycie psychiki Aecjusza. Przyznać trzeba, że postać główną wywołał autor znakomicie. Aecjusz Parnickiego to nie generalissimus wojsk rzymskich, zamieszkały w kartach kronik dzięki olbrzymiej ilości zwycięstwom, ale człowiek, żyjący, o skomplikowanem życiu duchowem, macchiavellowskim sprycie i potężnym ładunku inteligencji.

Autor był nam znany dawniej z szeregu wnikliwych i wartościowych essay'ów z dziedziny powieści historycznej i literatury rosyjskiej. Obecnie ukazał nam swe nowe oblicze: bystrego znawcy historji i pisarza o wielkiej kulturze literackiej i niecodziennym talencie. Na uwagę i pochwałę zasługuje styl Parnickiego, pełny prostoty i powagi, skromny w chwytach figuralnych; zwięzły i sugestywny w wysokim stopniu wpływa na wartość powieści.

Jeszcze jedna marginesowa uwaga: erotyka „Aecjusza", która była przedmiotem zastrzeżeń poważnych i niepoważnych krytyków, najjaśniej ilustruje inteligencję pisarską autora. Wśród współczesnych pisarzy polskich, nawet o nazwiskach pierwszej wielkości, niewieluby się znalazło takich, któryby podobne sprawy potrafili przeprowadzić z taką kulturą i umiarem. Zarzut „sadyzmu", o jakim również zdarzyło mi się czytać, jest głupi — większym od Parnickiego „sadystą" był Sienkiewicz.

ZYGMUNT JAROSZ

UWAGI I KONCEPCJE

O myśli i poznaniu

1. Przeżywamy jakby okres wtórnego dzieciństwa, zapoznając się z nowym obszarem wiedzy. Tak niedołężne są nasze pierwsze kroki na tym świeżo odkrytym terenie i tak powoli dojrzewamy, zanim zdobędziemy możność swobodnego poruszania się wzdłuż całego obszaru.

2. Każda myśl ma swą Scyllę z jednej — i swą Charybdę z drugiej strony.

3. Tylko talmudyści nie mają nigdy wątpliwości.

4. O każde zagadnienie potykamy się najpierw.

5. Leniwi tęsknią za absolutem.

6. Kto nie rozumie dialektyki natury, musi ranić głowę o absolut.

7. Myśl jest analityczna, uczucie jest drapieżne.

8. Dialektyka to nie tylko ruch; to także splot najróżniejszych czynników, działań, aspektów.

9. Nawet w formie pełnych polotu sentencyj można wyzbywać się resztek starego światopoglądu.

O walce

1. Niemasz pełnej radości życia bez walki.

2. Nic straszniejszego od bezbronności.

3. Bez podłoża przypadkowości nie byłoby bohaterstwa.

O wielkości

1. Wielkość to niepowtarzalność.

2. Niema takiego szczytu, z którego nie możnaby się stoczyć.

3. Nie wypracujesz wielkości duszy, jeśli nie zapomnisz o sobie.

O przyczynowości

1. Wszystko mija. Tylko przyczynowość trwa.

2. Pożądanie rozkoszy ma nas bardziej w swej mocy, niż rozkosz sama. W tem właśnie doskonale wyraża się potęga prawa natury, deterministyczna jego konstrukcja.

3. W tem, że człowiek dopatrzył się celowości w naturze — uwidacznia się (między innemi) jej niesłychane bogactwo.

O przyszłości dalekiej

1. Przyglądając się ludziom z powieści Conrada, mamy możność ocenić, jak trudnem zadaniem będzie realizacja socjalistycznego wychowania.

2. Przyszłemu wolnemu człowiekowi — człowiek, który musiał pracować osiem godzin dziennie, będzie się wydawał tak daleki, obcy, nieszczęśliwy i przybity prymitywnemi warunkami egzystencji, jak nam jaskiniowiec.

O wszystkiem

1. Nie przebaczajmy sobie zbyt niechętnie: każdy cierpi.

2. Prawdziwa szczerość jest przywilejem czystych.

3. W chwili, pełnej radości i bólu, uświadamiamy sobie naszą dojrzałość do przeznaczenia.

4. „Mądrość" filistra — oto wróg.

5. Niema takiego świństwa, którego nie możnaby popełnić pod płaszczykiem bezstronności.

6. Każdy człowiek „inną drogą dochodzi do uczestnictwa w sztuce".

7. „Mądry idealizm jest bliższy mądremu materjalizmowi, niż głupi materjalizm". Ale zaszczytniej być głupim postępowcem, niż mądrym reakcjonistą.

8. W miłości, jak w walce: kto nie chce ryzykować wielkich cierpień, niech się nie spodziewa wielkich owoców.

LÉO MOULIN

ARTHUR RIMBAUD

Kryzys indywidualizmu w XIX w.

Małe, markotne i deszczowe miasto w Ardenach francuskich podczas pustych i smutnych lat, które poprzedziły Sedan i upadek bez chwały cesarstwa. Dziecko. Młodzieniec. Zmarnowane życie rodzinne, ojciec nieznany. Matka, sucha, sztywna, szorstka Ardenka, pełna brutalnej czułości dla syna, który bez przerwy się buntuje. Dobry uczeń, trochę przedwcześnie dojrzały, i bardziej pewny siebie, niżby sobie tego życzyli nauczyciele.

Panowanie Napoleona III kończy się haniebnie; dyktatura policyjna rozpada się pod pchnięciem nowych sił, długo uciskanych. Trzeba było dopiero wybuchu Komuny, by młode pokolenia zaczęły w działalności politycznej szukać spełnienia swych nadziei. Wszystko jeszcze jest niemrawe w tem kończącem się panowaniu, nieświadomem jednak tego właśnie, że się kończy. Literatura w szkole to nie wygnany Hugo, ani też Leconte de Lisle, niedostępny w swoim wyniosłym pesymizmie, lecz słodkawy François Coppée i Sully Prudhomme; w teatrze przeciętny klasycyzm Ponsard'a, ostatnie poderwanie się antyromantyzmu; Augier i Sardou, Meilhac i Halévy, kwintesencja cesarskich błahostek. Jedynie powieść dała „Salammbô" Flaubert'a (1862) i to arcydzieło wówczas zapoznane „Dominique de Fromentin" (1863). Lecz Octave Feuillet i Cherbuliez zajmują miejsce, na które nie zasłużyli.

I oto w tem miasteczku bez wdzięku, w latach bez wielkości rodzi się nowe życie: *incipit vita nova*.

W wieku, w którym inni uczą się jeszcze pisać, a zdolniejsi szepczą pierwsze miłosne wiersze, w 16 roku życia, nie widziawszy nigdy morza, mały wieśniak, który przeczytał jedynie Verne'a i może Wiktora Hugo, pisze najwspanialszy poemat o morzu. W poemacie tym nie tylko opiewa morze jak żaden inny poeta nie opiewał, ale przepowiada przyszłość sobie samemu i swemu stuleciu.

Albowiem Arthur Rimbaud spełni przepowiednię swego poematu, urzeczywistni ją we własnem życiu. Ucieczka do morza, rodzicielki wszystkich wolności, zerwanie z wszystkiemi więzami, bieg bez końca ku zielonym horyzontom i melancholiczny powrót, oto życie samego poety, jego klęska, słabość i śmierć.

Los niezwykły. Poeta szesnastoletni zamilknie w 20-tym roku życia. Nigdy niczego więcej nie napisze. Po napisaniu „Une saison en enfer" i wielkich przeobrażeniach, których dokonał w nowej poezji, poeta spędzi siedemnaście lat na wędrówkach od Monachjum po Jawę, od Cypru do Aleksandrji, z Harraru do kraju Choa. Handluje bronią i niewolnikami. Bogaci się. Marzy o spokojnem, nabożnem życiu rodzinnem przy boku żony, któraby tak gospodarowała jak jego matka, śród dzieci ostro wychowywanych wedle zasad religji, do której nawrócił. Być właścicielem tych szarych pól ardeńskich, gdzie bezradośnie rośnie żyto i ziemniaki.

Poeta, który wszystko zniszczył, który znalazł się poza granicami dobra i zła, który wszystko zburzył i odrzucił, by lepiej zbudować swój świat poezji, w ostatnim roku swego życia wlecze na własnych obolałych nerkach pas ze złotem. 40.000 sztuk złota.

Przebiegłszy Europę i Afrykę pieszo, po 40 kilometrów dziennie, kończy swój żywot z uciętą nogą w szpitalu. Jakgdyby sam los chciał powiedzieć wszystkim, że ten człowiek nie był, nie mógł być owym znakomitym poetą, młodzieńcem demonicznym i nieokiełznanym.

Szesnastoletni poeta i trzydziestoletni handlarz, a pomiędzy nimi cały świat. Można niemal mówić o dwóch Rimbaud'ach. Jeden umarł dla drugiego — jeden był tak obcy drugiemu, jakgdyby nigdy nie istniał.

Nikt nie odepchnął sławy z większą energją, z większym wstydem, nikt nie wyrzekł się do tego stopnia sławy, która opromieniła imię. Nigdy wielki poeta tak nie zlekceważył i nie wydrwił poezji. By przeżyć własnem życiem poezję i z niej czerpać racje swego istnienia, zniszczył własne przeznaczenie, zaprzeczył istnieniu poezji, błąkając się jak żywy trup od owego wieczoru, kiedy spalił egzemplarze swojej ostatniej książki.

Wielu ludzi zajmowało się zagadnieniem Rimbaud'a. Rimbaud wierzący, Rimbaud łotrzyk, Rimbaud wizjoner, a ostatnio — Rimbaud pederasta. Jak sprowadzić do wspólnej miary takie monstrum niewytłumaczalne i wielorakie. Zawsze wymyka się nam jakiś aspekt jego wspaniałej osobowości. Rimbaud jest jak jego poezja — rytmem, obrazem, muzyką, czystą poezją, ale prócz tego — przeznaczeniem człowieka i przeznaczeniem wieku.

Cokolwiekby powiedziano o Rimbaudzie, jest on wytworem swego wieku. Jeśli wydaje się nam zjawiskiem jedynem, odrębnem tak bardzo, że aż oderwanem od czasu i środowiska, to dlatego, że wiek ten był wiekiem indywidualizmu, jego tryumfu i klęski.

Dramat Rimbaud'a jest przeżytym, przeczutym, przecierpianym dramatem indywidualizmu. Zrywanie, ustawiczne zrywanie wszelkich przeszkód, bez litości, bez wahania. Dokąd go zawiedzie „Pijany statek"? W imię jakiej wyższej woli pędzi ku coraz to nowym horyzontom? Do jakiego celu?

Jedynym celem tego wyswobodzania jest samo wyswobodzanie się, nawet nie sama wolność. Niema innej strawy prócz siebie samego, spala się i ginie, by móc żyć.

Jest to tragiczna przygoda całego XIX wieku. Zacząwszy od pełnego pychy *Ja* romantyków, przechodzi pesymizm parnasistów i sztukę dla sztuki symbolistów, aż wreszcie kończy na dekadentach szkoły romańskiej, dadaistach i surrealistach.

Takie jest twarde prawo naszego rozumu, pozbawionego swoich korzeni, odciętego od wszelkiego kontaktu z istotą społeczną lub boską; dąży do własnej zatraty, z szaleńczą radością, ponieważ taki jest jego los: zaprzeczanie wszystkiego daje wkońcu przeczenie własnej negacji.

Anatole France, Bourget, Barrès, Loti, Proust, Cocteau, błąkają się w pogoni za racją istnienia, jeżeli nie w pogoni za swem własnem *Ja*, rozpuszczonem przez kwas psychoanalizy. Myśl ich obraca się w próżni, chroni się, zależnie od wskazań epoki, albo wybujałości własnego instynktu. Po takiej negacji i sceptycyzmie, po zanurzaniu się w głębie naszej podświadomości, dochodzą do nieuniknionej przegranej, a jeśli śmierć ich przeraża, do fatalnego powrotu ku dawnym nawykom: do tradycji religijnej, ortodoksji socjalistycznej lub nacjonalistycznej, do tworzenia dzieła artystycznego jako takiego (Proust), albo jeszcze, jak u Cocteau, do gromadzenia wszystkich ucieczek naraz: religji, narkotyków, herezji seksualnej i patologji artystycznej.

Oto prawdziwy dramat rimbaud'owski: młodzieniec szesnastoletni przeczuł, ku jakiej klęsce wiedzie go jego nieugięta chęć wyzwolenia się; mimo wszystko z wszystkich swoich sił niezliczonych i wielorakich próbował wielkiej przygody, jedynej, godnej niego.

DEBJUT POETYCKI

Jerzy Kamil Weintraub: Próba powrotu. Chełm lubelski, Bibljoteka „Kameny", nr. 10; str. 37.

Debjutowy tom młodego poety warszawskiego zadziwia jednolitością w opanowaniu formy poetyckiej; należy przytem do skąpej dziś liczby takich zbiorów wierszy, które reprezentują duży poziom kultury. Książka ta narodziła się z zamyśleń i rozważań poety nad dziwnością wogóle — a mijaniem w szczególności — czasu. Poprzez wiele utworów stykamy się z charakterystycznem bardzo dla autora ustosunkowaniem się do czasu. Spoczątku Weintraub trwa niejako zapatrzony w minione przeżycia, wspomina je, następnie się zwraca ku przyszłości, „w nadpływający czas", wychodząc naprzeciw nowym wstrząsom psychicznym, dalszym zdarzeniom, mogącym znaleźć swą reprodukcję w wierszach. Niewątpliwie wskutek obrania sobie tego rodzaju stanowiska lirycznego patronami autora stali się tacy poeci refleksyjni, jak Rilke oraz Trakl. Nawiasem trzeba dodać, że poezje Trakla, w Polsce prawie zupełnie nieznanego, Weintraub gorliwie tłumaczy i już wkrótce ma wydać tom jego przekładów. W niektórych strofach zaznacza się istotnie dostojny spokój i umiarkowanie w typie Rilkego. Pozatem, jeśli brać pod uwagę stronę genealogiczną „Próby powrotu", to o oddziaływanie głównie możnaby pomówić „Skamander", jak najogólniej i najszerzej rozumiany. Właściwie cała forma poetycka Weintrauba, poza drobnemi wyjątkami (n. p. wierszem p. t. „Autobiografja", opartym w swej konstrukcji na paradygmatach awangardowych), nie stanowi jakiejkolwiek opozycji wobec kanonów skamandryckich. U poety zachodzi jedynie stosowanie wielu inowacyj, zaczerpnięcie ze świeżych źródeł twórczych, co w przeważnej mierze dostarcza pięknych efektów i prowadzi do własnomyślnie wypracowanego stylu („Ty wśród żółtej lśniąc drogi, modrą szarfą nieba przez piersi owinięta wypukłe i ciepłe, przepływasz latem sosen...").

Sposób oglądania świata, przedstawionego w „Próbie powrotu", posiada raczej cechy naturalistyczne. Naogół nie znajdują miejsca większe deformacje, odrealnianie zastanej rzeczywistości lub narażanie treści dla formy. Poeta operuje, zresztą rzadko, przejrzystym symbolizmem, którego zadanie polega na lepszem uprzytomnianiu nam nastroju. A wtedy pojawiają się momenty, gdzie dochodzi do pewnej stylizacji, lecz to nie zawsze tym wierszom służy (tak n. p. w „Elegji komandorskiej" ma się do czynienia już z wpadaniem w manierę metaforyzacyjną). Obrazy ukazane są zazwyczaj konkretne, wolne od zamętu, i poznać w nich dążność do klarowności i klasycznej monumentalności.

Partja wierszy, zatytułowana „Lato elegijne", to poemat cykliczny. Poszczególne utwory tam zawarte wyrastają z jednego pnia przeżyć. Każdy z nich można określić jako zmodyfikowanie o delikatnych odchyleniach tematycznych czy rozwinięcie owego pierwotnego przeżycia, jakiem jest kontemplacja lata wśród werand, szumów i zmierzchów, przy towarzyszącej stale świadomości zmieniającego się czasu (oczywiście, tego fenomenalnego, wewnętrznego). Z innych wierszy mocne wrażenie sprawia „Elegja nadwiślańska", zwłaszcza dla swej zgrzytliwej pointe'y, oraz „Rozmowa z Georgem Traklem", wiersz naprawdę przeżyty.

Jeden zarzut poważniejszej natury dałby się uczynić pod adresem „Próby powrotu", a to, że poeta zbyt często powtarza i przez to nadużywa niektórych wyrazów („przepływać", „płynąć", „odpływać"), co powoduje zbanalizowanie nastrojów i ogromne spłycenie obrazowania w tych wierszach. Na to istnieje tylko ten kontrargument, że właśnie niekiedy w takich „łatwiznach" tkwią możliwości wzruszenia czytelnika i nawiązania z nim uczuciowego kontaktu przez mówienie do niego bezpośrednio, poprostu, nawet prozaizmami.

Kto potrafi przeżywać czas dany w doświadczeniu wewnętrznem i kto rozmyślał nad zagadnieniem czasowości, odczuje niezawodny a głęboki liryzm w elegijnych zaśpiewach Weintrauba.

Władysław Jaworski

STAROŻYTNOŚĆ MÓWI

INTERWENCJA CZY NIEINTERWENCJA?

Pod takim tytułem ukazał się w miesięczniku francuskim „Micromégas" poniższy ustęp z mowy Demostenesa za uwolnieniem Rodyjczyków spod jarzma oligarchji.

Ateńczycy, prowadziliście często wojny zarówno z państwami demokratycznemi jak i rządzonemi przez mniejszość; wiecie o tem równie dobrze jak ja. Żaden może jednak z was nie zastanowił się nad motywami tych konfliktów z jednemi i drugiemi. Jakież więc są to motywy? Z państwami demokratycznemi walczycie bądź dla interesów prywatnych, których nie udało się uregulować drogą zarządzeń publicznych, bądź też dla jakiegoś kawałka terytorjum czy granicy, bądź wreszcie spowodu współzawodnictwa i chęci górowania. *Z oligarchjami* — dla żadnego z tych względów, lecz — w obronie *waszego ustroju i wolności*. I jest to tak dalece prawdziwe, że byłoby dla was korzystniej, nie boję się tego powiedzieć, mieć za wrogów wszystkich Greków zorganizowanych w demokracje, niż mieć ich za przyjaciół z chwilą, gdy się znajdą pod władzą mniejszości. Z wolnymi bowiem nie byłoby wam trudno zawrzeć pokój, kiedy go zechcecie, pod rządami zaś oligarchji nawet ich przyjaźń wydawałaby mi się daleka od bezpieczeństwa. Nie, nie jest możliwe, by państwo opierające się na mniejszości miało sympatje dla ludu, a żądni władzy — dla tych, co pragną żyć w równości.

Dlatego to, Ateńczycy, nie mogę wyjść ze zdziwienia, że w czasie, gdy mniejszość panuje na Chios, w Mytilenie, gdy Rodyjczyków, i rzecby można prawie wszystkie państwa, doprowadzono do tego stanu niewolnictwa, żaden z was nie zdaje się rozumieć, że to właśnie nasz ustrój jest w niebezpieczeństwie, nikt sobie nie mówi, iż sojusz państw oligarchicznych, jeżeli dojdzie do skutku, nie zniesie, by u nas panował lud. O, wiedzą to oni, aż nadto dobrze wiedzą, że to my i tylko my przywracamy wszędzie wolność, a to, co jest dla nich groźne, zechcą zniszczyć. Gdy więc na innych, wyrządzających temu lub tamtemu krzywdę, należy patrzeć jak na wrogów ich ofiar, ci, co obalają demokracje, by je zastąpić ustrojem oligarchicznym, ci, wierzcie mi, są wrogami wszystkich pragnących wolności. Słuszność więc wymaga, o Ateńczycy, abyście będąc sami państwem demokratycznem, mieli względem narodów uciskanych takie same uczucia, z jakiemi pragnęlibyście się spotkać u innych, gdyby przez jakieś nieszczęście — oby bogowie nas od tego ustrzegli — podobny los stał się waszym udziałem. Oto dlaczego, gdy są tacy, co twierdzą, że Rodyjczycy mają to, na co zasłużyli, ja jestem zdania, że chwila nie jest odpowiednia, by się z tego radować. Obowiązkiem bowiem narodów szczęśliwych jest okazać, że pragną zrobić wszystko, co tylko mogą dla nieszczęśliwych, gdyż — pomijając inne względy — przyszłość jest niepewna dla wszystkich.

Myślę, że przywracając na Rodos demokrację mamy za sobą prawo. Ale nawet gdybyśmy go nie mieli, to biorąc pod uwagę, co czynią tamci, uważam, że powinienem wam to doradzić. Dlaczego? O niewątpliwie dlatego, Ateńczycy, że gdyby wszyscy inni chcieli tego, co słuszne, a mybyśmy tylko nie chcieli, mielibyśmy się czego wstydzić; *ale gdy wszyscy inni prześcigają się w łamaniu sprawiedliwości, samemu tylko wysuwać przyczyny natury prawnej, to już nie uczciwość, oświadczam, lecz — tchórzostwo.* Prawo bowiem, widzę to dobrze, każdy określa według tego, co w tej chwili może.

Demostenes, przełożyła St. Warszawska

NIEMCY I CZESI

Deutsche und Tschechen. Zur Geistesgeschichte des böhmischen Raumes. Von Dr. Konrad Bittner, Privatdozent der Deutschen Universität Prag. I. Von den Anfängen zur hussitischen Kirchenerneuerung. Brünn 1936, Rudolf M. Rohrer; str. 239 i XVI.

Rzecz wysoce aktualna i naukowo bardzo solidnie podbudowana. Autor mówi wprawdzie tylko o Niemcach i Czechach w ich współżyciu na terytorjum czeskiem, ale sprawa ma znaczenie daleko szersze. Mniejszości niemieckie, czasem dość duże, istnieją nie tylko w Czechach, ale i w Polsce, na Węgrzech, na Bałkanach, w Rosji europejskiej, a nawet na Syberji. Ci Niemcy, co dawnemi czasy osiedlali się po miastach różnych państw, ulegali z czasem wynarodowieniu, ale koloniści wiejscy, tworzący czasem dość duże grupy niemieckie, nie zdradzają skłonności do asymilacji ze swojem otoczeniem i tworzą ogniska specyficznych zagadnień, niekiedy bardzo trudnych, podczas gdy mniejszości narodowe w granicach Rzeszy nie są przez Niemców uznawane za jakąkolwiek postać zagadnienia.

Najostrzej przedstawiają się obecnie przeciwieństwa tego rodzaju na terytorjum czeskiem, osobliwie od czasu, gdy hitleryzm w programie swoim ma jednocześnie ziem „niemieckich", czyli zamieszkanych choćby częściowo przez napływowy element niemiecki. Historjozof czeski, František Palack'y, sformułował treść dziejów czeskich jako wyraz przeciwieństw, istniejących między germanizmem a słowiańskością. Te przeciwieństwa istnieją dziś tak samo, jak istniały dawniej, ale ich powstanie, sama możliwość ich powstania, zaciekawia. Niegdyś oba te narody żyły obok siebie dość spokojnie, szlachta czeska niemczyła się dość łatwo, a przynajmniej ulegała wpływom kultury niemieckiej. Wpływy te nie napotykają zrazu żadnego oporu. Autor przedstawia współżycie kulturalne obu narodów w obszernym i wysoce interesującym rozdziale: „Das romanische und gothische Zeitalter". Oddziaływanie było wtedy wzajemne. Odruch odrębności budzi się dopiero wtedy, gdy nie kultura niemiecka, ale jej przedstawiciele chcą panować nad innymi.

Drugi rozdział, bardzo obszerny, bo liczący przeszło sto stronic, traktuje o husyckiej odnowie kościelnej. Autor bardzo szeroko podmalowuje tło ruchu husyckiego, charakteryzuje głęboką pobożność czeską i wreszcie mówi o następstwach walk husyckich. Operując olbrzymim, dobrze opanowanym materjałem historycznym, Bittner ma do powiedzenia bardzo wiele ciekawego o tym ruchu narodowo-czeskim, który wydostał się nawet daleko poza granice Czech. Ale sama postać Husa i jego walka na uniwersytecie praskim przeciwko supremacji niemieckiej, nasuwają myśli, że husytyzm był tak samo ruchem narodowo-obronnym, jak później reformacja niemiecka walcząca z wrogim sobie romanizmem.

Treść nacjonalizmu czeskiego z czasów husyckich jest nawskróś religijna. Czesi, przeciwstawiając się Niemcom, widzą ich zaborczość, ich niechrześcijańską, władczą wyłączność i już w prekursorach Husa, w Macieju z Janowa, w Miliczu z Kromierzyża i w Konradzie Waldhauserze, praktyce panującego kościoła niemieckiego przeciwstawiają własną praktykę pokory, braterstwa, dobroci. Czech czuł się innym człowiekiem, ta inność jego jeszcze nie wyrażała się kategorjami nacjonalistycznemi, ale tem ostrzej przeciwstawiała się kościelno-politycznej zaborczości niemieckiej w dziedzinie życia chrześcijańskiego, które ewangelją brało w obronę słabych i upośledzonych przeciwko możnym tego świata.

Kto zna króciutką historję literatury czeskiej F. X. Šaldy, temu treść wywodów czeskiego krytyka przypomina się stale przy czytaniu dzieła Bittnera. Jak cała Europa w. XIV-go i XV-go, tak i Czesi widzą treść człowieczeństwa w chrześcijaństwie, ale ich charakter narodowy nie pozwala im zatrzymać się przy formalizmie ludów śródziemnomorskich, lecz zmusza ich do zgłębiania chrześcijaństwa. Docierają do ewangelji z jej ideałem braterstwa, pokory i ascezy, i z tego ideału czynią swoje człowieczeństwo i swoją narodowość, oczywiście, wybitnie „kacerską", przeciwko której organizuje się w Europie wyprawy krzyżowe.

Ale husytyzm to nie tylko walki orężne „Bożych bojowników", lecz także swoista kultura, podbudowana religijnie. Kultura ta ma swoje bogate piśmiennictwo, w którem, jak powiada Šalda, duch narodu wyżył się religijnie, wyprzedzając wszystkie postacie radykalizmu etycznego, skandynawskiego czy rosyjskiego pokroju. Czesi różnili się wszakże od innych narodów tem, że głosili to, co było przedmiotem ich wiary, i to było im poczytane za herezję. Inne narody, trzymając się formy i lekceważąc treść, spoglądały na Czechów, jako na naród heretyków i dokoła narodu czeskiego tworzyła się coraz większa pustka. Dopiero nowe ruchy umysłowe i kulturalne, odrodzenie i reformacja, zmieniając strukturę kultury europejskiej, włączyły naród czeski w nową ludzkość europejską.

Na tem kończy się pierwsza część tej szeroko zakrojonej pracy uczonego niemieckiego, który stawia sobie za zadanie odtworzenie kulturalnej wspólnoty niemiecko-czeskiej, dokładne poznanie tego, co oba te narody łączyło w przeszłości, aby wreszcie móc wywnioskować o linjach ich dalszego współżycia. Rzecz prosta, że dalsze części tej pracy, omawiające bliższe nam czasy, będą dla nas daleko ciekawsze.

Paweł Hulka - Laskowski

STEFAN GEORGE

Herman Sternbach: Stefan George. Ein Versuch. Odbitka z „Neofilologa". Warszawa 1937; str. 23.

Piękny essay znanego germanisty lwowskiego, poświęcony niemieckiemu wieszczowi i kapłanowi słowa Stefanowi Georgemu, stanowi omówienie oraz głębsze wniknięcie w działalność literacką i życie tego wspaniałego poety. Georgego wprowadzili do Polski tłumacząc go Iwaszkiewicz i Napierski. Problem tej tajemniczej osobistości, a zwłaszcza poezji george'owskiej jest obecnie jedną ze spraw dojrzewających do swej aktualności. „Pod znakiem" jego stoi Czechowicz, a przedewszystkiem młodzi: Hertz, Sowiński, Żakiej i kilku innych. Pisząc te słowa, nie mamy jakiejkolwiek intencji zasugerowania czytelnikowi, iż chodzi tu o jakąś „wpływologję", wulgarnie rozumianą. Pragniemy tylko stwierdzić pewien zasiąg niewątpliwych oddziaływań, pochodzących od tego liryka, jakie dałyby się przypisać w silniejszym lub słabszym stopniu naszej poezji doby ostatniej.

Szersze rzesze nie zyskały nigdy dostępu do jego dzieł poetyckich, które były im językowo, treściowo i technicznie zupełnie obce. Podobnie jak dzieła, tak i twórca pozostawał w odosobnieniu, świadomem i umyślnem, wobec publiczności. Kręgu wybranych, w którym się zamknął, nie przestąpił aż do śmierci. Sztuka, zależna od epoki i jej kaprysów, nie odpowiadała psychice Georgego. Chciał on stworzyć coś trwającego ponad czasem, coś absolutnego. Stąd doskonale da się zrozumieć, dlaczego „Die Blätter für die Kunst", pismo „Kreis'u", które ukazało się w 1892 roku, wykluczyło ze swoich łamów wszystko, co państwowe i społeczne. Pośród tych wybranych, w owem kole, o charakterze wybitnie ekskluzywnym, George we własnej osobie jest tym poetą, którego sam wieszczy, tym prorokiem, którego sam stworzył i tym wodzem, którego sam opiewa. Tu wysuwa się często zarzut, niewątpliwie słuszny, pozy i maski. Ale koturn nie czyni ujmy temu poecie.

George jako zjawisko artystyczne posiada ogromną doniosłość dla literatury niemieckiej. W czasach kompletnego zubożenia fantazji potrafił liryce przywrócić należne jej miejsce, a językowi przydać nowego uroku, wynosząc równocześnie formę na wyżyny nieosiąganej dotychczas doskonałości i rygoru.

Sternbach, przechodząc poszczególne dzieła i zaopatrując tekst licznemi cytatami poetyckiemi, dokonywa subtelnych nieraz analiz literackich na całokształcie twórczości poety. Nie kusząc się tutaj o dokładniejsze referowanie tych rzeczy, ograniczymy się do wskazania paru momentów, zawartych w szkicu. W sferze twórczej Georgego pojawiają się trzy pierwiastki, a raczej trzy różne światy: helleński, chrześcijański (średniowieczny) i orjentalny. Do nich jako czwarty dołącza się germański. Poeta widzi w syntezie antyczności z germaństwem ostateczny ideał. Ta nowa postawa grecko-germańska wynika u Georgego z głębokiego, czysto osobistego przeżycia, jakie odzwierciedla się we wszystkich dziełach, napisanych od jego czasu. Przeżyciem tem było spotkanie z Maximinem. Miłość poety do tego młodzieńca sprawiła, że Maximin został wyniesiony do mitu. Stąd Maximin oznacza objawienie wyższej mocy duchowej, które obowiązuje „tajemne Niemcy", garstkę nielicznych. Przy pomocy tych nielicznych, wybranych, którym poeta mógłby powierzyć przyszłą władzę nad życiem i prawdziwie twórczy wpływ na idące pokolenia, powstaje nowa społeczność. Fundamentami jej moralnemi są wiara i miłość. Celem jej zaś jest dążenie ku coraz piękniejszemu i czystszemu człowieczeństwu.

Przy końcu essay'u porusza autor sprawę dzisiejszego ustosunkowania się w Niemczech do Georgego. Uznać go za patrona teraźniejszości, znaczy nie rozumieć go zasadniczo. Czy sam wieszcz przyznałby się obecnie do „urzeczywistnionych ideałów", należy wątpić. Dziś ci, którzy usiłowali zrobić Georgego sztandarowym poetą hitlerowskich Niemiec, odwracają się odeń nietylko ze względów rasistowskich (Maximin miał być synem żydowskiego adwokata z Monachjum, a koło, otaczające Georgego — „zażydzone"), ale ponieważ sądzą, iż stracił on u młodzieży niemieckiej mir i choć poetycko może posiadać wiele wartości, nie nadaje się już dla niej, „bo jej idzie o coś innego, niż o czysto ludzkie bycie człowiekiem".

Władysław Jaworski

SZKOŁA UWODZICIELSTWA

Henry de Montherlant: „Dziewczęta" i „Litujmy się nad kobietami". Przekł. W. Rogowicza. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa, 1937.

Naczelne zagadnienie szczęścia we współżyciu mężczyzny i kobiety, w przystosowalności do siebie ciał, charakterów i idei, znajduje w książkach tego świetnego pisarza francuskiego zimne, bezlitosne i wspaniałe pod względem wirtuozerji formy — oświetlenie. Charakter Piotra Costy, cynika, wypieszczonego przez życie, nie znającego smaku klęski, tygrysa, wałęsającego się po magistralach, teatrach, salonikach Paryża, by brać od kobiet miłość, nie dając im wzamian nic, jest aż nieprawdziwy — tak się wydaje wyprany z wszelkiego sentymentu, pozoru łagodności i dobroci. Poprostu nie nauczył się od kobiet niczego, nawet drobnej blagi, mogącej zatuszować w momentach szczególnie drastycznych krzywd — egoizm samca, jego wyrachowanie, obracanie się na pięcie, kiedy ma dosyć. Ale z drugiej strony ta antyseptyczna bezlitosność nie dopuszcza do zakażeń poważniejszej natury, do powikłań grożących tragedją, na wypadek, gdyby dopuścił którąś ofiarę bliżej do swej chimerycznej duszy znawcy, człowieka, który wie, rozumie, zna życie, od nauki, poprzez sztukę, aż do jakichś medycynalnych odruchów trzewi.

Literata Costę napastują dwie kobiety, obie z prowincji; jedna w rodzaju stygmatyczki, Teresa Pantevin, cierpiąca na dusznicę miłosną, o znamionach wielkich, prostych, religijnych, — druga, Andrea Hacquebaut, typ sawantki, snobki inteligentnej aż do nieprzyzwoitości, bo się czuje niestosowność tych skarbów umysłu w ciele brzydactwa. Ta druga jest szczególnie napastliwa, zmusza bowiem zwierza, który nie chce wyciągnąć pazurów, do udawania kota, który jest niezdecydowany: a możeby sięgnąć po nią. Costa nie chce jej obrazić, wstydzi się swojej przewagi, ale na miłość z prowincjuszką nie ma absolutnie ochoty; każdy musi sobie zdać z tego sprawę, że magazynowane pokłady niechęci oprocentują się w jego psychice obficie. Andrea zasypuje go listami, kiedy nie otrzymuje odpowiedzi, opacznie tłumaczy sobie milczenie, dzięki wrodzonej ruchliwości umysłu, skazana na monolog, wytwarza sobie zupełnie fałszywy rysunek charakteru Costy i jego zamiarów. Rozbieżność rzeczywistości i fikcji, którym za pokarm służą te same skąpe fakty, tylko zdradziecko rozdzielone między prawdę i wmówienie sobie — jest uprawdopodobniona z żelazną konsekwencją. Kiedy nieszczęsna Andrea gra jak Zuzanna Langlen... do parkanu, Costa znajduje sobie jako ostatni objekt Solange Dandillot, słodką, uroczą głuptaskę, dziewczę botaniczne, bierne, tylko o wysokiej rasie ciała z dobrej burżuazji. Znowu rozdział między szybko wstępującą namiętnością mężczyzny a rozkręcającem się powoli przywiązaniem u dziewczyny, która trzyma się swego ukochanego coraz bardziej kurczowo. Skala odruchów Solange na zabiegi Costy została oddana z niebywałą precyzją i znawstwem psychologji, a taki moment, jak wymięty Solange po powrocie do domu i uświadomieniu sobie, że będzie należała do tego mężczyzny — leży poza wszelkiem dociekaniem, tylko kobieta mogła się zwierzyć pisarzowi ze swego przejścia. Po kulminacji uczucia u Costy, widzimy, jak atuty wypadają z rączek biednej Solange, gotowa podzielić los tylu poprzedniczek. Ale tu wchodzi w rachubę nieprzewidziana w skutkach interwencja: poznanie ojca Solange. Stary Dandillot, rentjer, uroczy kibic życiowy, amator sportów, higjenista, skazany na rychłą śmierć przez raka, który nic sobie nie robi z metod „naturalnych" utrzymania zdrowia, jest biedną, żałosną figurą mędrca, okpionego przez życie. Costa spodziewał się niesmacznego uczucia odpowiedzialności wobec ojca, którego dziecko uwiódł. Nic podobnego, Dandillota Solange nic nie obchodzi, jest poza linją demarkacyjną spraw wartych jeszcze zachodu, pragnie się Coscie zwierzyć, żywi dla niego sympatję, usiłuje uratować z siebie cień nieśmiertelności, powierzając się pisarzowi. Tutaj czuje rasowy drań Costa, że ktoś chce wykonać zamach na jego wolną wolę uważania ludzi za to, za co mu się podoba, na wolę pogardzania nimi. Chce się wymknąć, co mu się też częściowo udaje, kiedy rzuca do kanału powierzone sobie listy. Ale zwycięstwo jest pozorne, w gruncie rzeczy stary Dandillot jest poza synkiem „Brunetem" jedynym człowiekiem, dla którego ma trochę dobroci w swojem oschłem sercu, i trochę szacunku. Odblask wielkości tego kabotyna oblewa go rumieńcem: **pitié pour les femmes.** Im niestosowniej Solange będzie się zachowywała po śmierci ojca, zapatrzona w swoje uczucie samicze, tem bliższy będzie Costa nieopuszczenia jej, małżeństwa; ale z asekuracją, już teraz bowiem powołuje do odpowiedniej roli kochankę „z odwołaniem" — Rachelę, która mu zwykła wypełniać interwały między jednem a drugiem „ciekawszem" uczuciem. Trzeci tom: „Sur le bord de l'abîme", przyniesie historję tego małżeństwa; w polskim przekładzie, jak wynika z notatek niektórych pism, książka będzie nosiła tytuł: „Demon dobra", co już dosyć przejrzyście demonstruje myśl autora.

Montherlant nie należy do umysłów, które prędko i chętnie spoczywają na laurach. Średni pisarz, znalazłszy jakąś prawdziwą i mocną tezę, jechałby na tym koniku do końca. Montherlant przeciwnie, zmienia pozycje i kąt widzenia, nie pozwala zatryumfować żadnej ustalonej przez siebie interpretacji bohaterów, jego Costa nietylko trzyma w szachu o krok od samobójstwa Andreę, nie tylko do obłąkania doprowadza Teresę, nie tylko podkłada sobie pod głowę Solange, jak poduszkę, ale także umie szybko, uczciwie i z pasją poznania — myśleć. Myśląc, wciąż interpretuje i zmienia postacie, z któremi współdziała. Rozplanowanie cytatów w książce, pełne logicznego smaku, jeśli tak można mówić, oszczędność wyrazu, odsłaniająca jednem zdaniem wszystkie potrzebne perspektywy, odkrywczość psychologiczna, rozwiązująca się odrazu w aforyzmy, — należą tu do najlepszych walorów. Jest to najtęższa powieść autora „Le Songe", „Les bestiaires" i „La Rose de Sable" i jaśnieje wyjątkowo świetnie nad horyzontem tego, co się pisze obecnie w Europie.

Marjan Promiński

ŚWIAT PO NIEWIDOMEMU

Helena Boguszewska: Świat po niewidomemu. Wyd. II. Warszawa, J. Przeworski, 1937.

Nie ulega wątpliwości, że w 90% pytanie: „Kto był twórcą pisma dla niewidomych" — otrzyma natychmiastową odpowiedź: Braille.

I na tem kończy się najczęściej cały zasób wiadomości widzącego o niewidomych. Może się obiło jeszcze o uszy jakiemuś kolekcjonerowi wiadomości encyklopedycznych: że alfabet Braille'a jest wypukły, że składa się z kombinacji 6 punktów ułożonych w dwu kolumnach; że rozpiętość ich jest taka, aby jednem dotknięciem puszka palca można było objąć całą literę; że istnieje szkoła specjalna, kształcąca wychowawców niewidomych dzieci; że istniała Helena Keller i Laura Bridge; że pierwszą szkołę dla ociemniałych założył w r. 1789 Haüy; że racjonalnem kształceniem niewidomych zajęto się dopiero w XIX w.; że przyczyny utraty wzroku mogą być wrodzone i nabyte; że badania Grüsbacha skierowane były w kierunku ustalenia róznic, zachodzących między dotykiem u ludzi zdrowych i ślepych; że u niewidomych zmysł przeszkód działa lepiej; że system braille'owski, zastosowany w r. 1825 posiada dwie wady: druk jest bardzo drogi, toteż w szeregu zakładów podręczniki przepisują sami niewidomi pod dyktandem, drugą wadę stanowi fakt, że rozmiary książek są zbyt duże; że w Ameryce wynaleziono nowy przyrząd, zwany wizjografem; że...

Bardzo nieliczni natomiast wiedzą, że w Polsce jest 20.000 niewidomych, z tego 3.000 młodocianych, a kształci się niewiele ponad 300 dzieci. To już jest statystyka.

Właściwie jedno i drugie — ochłapy fachowych wiadomości laików i smutna statystyka bledną i całkowicie zanikają wobec suchego faktu, że ślepy, przypadkowy los ukrócił część ludzi w przyrodzonych prawach, prawach do barwnych cudów natury, kolorowych kształtów, oglądania i kochania oczyma najbliższych.

Z parjasów życia najbardziej pokrzywdzone są chyba niewidome dzieci, do których bezbronności wobec otoczenia, wynikłej z młodego wieku, niedoświadczenia, dodano jeszcze krzywdę najstraszniejszą: wieczną ślepotę.

W Laskach Różanych pod Warszawą istnieje pod opieką zgromadzenia zakonnego SS. Franciszkanek, Służebnic Krzyża — zakład dla ociemniałych dzieci. „Świat po niewidomemu" Heleny Boguszewskiej jest opisem ich życia; życia płynącego zwyczajnie między śniadaniem, pracą w ogrodzie, na własnych grządkach, huśtawką, wycieczką do lasu, nauką, szyciem wspaniałych strojów dla lalek i „kulganiem" ciężkiej, drewnianej kuli do symetrycznie ustawionych kręgli; zwyczajnego życia podzielonego w kratki przepisowych, wspólnych zajęć dnia zakładowego. Troski, kłopoty, zmartwienia, radości, uniesienia, wzloty i upadki nabrzmiałe intensywnością młodego przeżywania. Tak jak wszędzie. Tylko, że... te dzieci nie widzą. Szerokie, rozwarte źrenice nie przenikną otaczającej ciemności. Maleńki „brajlowski człowiek" musi sobie dopomóc rękami. Musi palcami, niby najczulszym instrumentem ogarnąć, przyswoić i wchłonąć w siebie kształt przedmiotu, poznać i przedstawić się niewidzialnemu wrogowi niezmierzonych, chropowatych odległości ścian i pokonać chytre, nieprzyjazne kanty i zakręty. Biedny, mały brajlowski człowieczek. Świat w swojej kolorowej krasie jest bardzo piękny, a życie zwyczajnego człowieka, patrzącego „po widzącemu" o tyle łatwiejsze. Ale natura dążąca do wyrównania, obdarzyła go możnością oglądania rzeczy „od wewnątrz". Patrzenie oczyma duszy nie jest wcale wymysłem poetyckim. Wyobraźnia jest jak linja w geometrji biegnąca bez końca i dlatego barwy, kształty, kontury i zarysy, jakie przybierają zwyczajne przedmioty od wewnątrz, u niewidomego są tak dalekie i o tyle piękniejsze od stanu rzeczywistego, jak bajka od codziennego życia. Bo pomyśleć: biała róża. Dla nas jest to najzwyczajniejsza w świecie biała róża, dla nich na biel składa się — biel skrzącego, zimnego śniegu i słodycz cukru, który jest biały i przytulne wgłębienie jaśka na poduszce i gładka politura lakierowanej ramy okiennej i dobre, najpewniejsze ręce siostry Anuncjaty... — a na różę: zapach i delikatne, wykrojone przy końcu w zęby, aksamitne płatki i lakierowane, ząbkowane listeczki i krągły wyzierający z boku, szpiczasty kolec pachnący cierpko prochem i suchem latem, no i... samo wyobrażenie — i dlatego może mają oprócz zwykłego śmiechu i uśmiechu „bezbronny, słodki i ufny uśmiech ociemniałego".

Karolowi, który w swoich dziesięciu latach przeszedł aż pięć operacyj i teraz może przez grube, wypukłe szkła zobaczyć naprawdę barwę bronzowego habitu, trzeba ciągle przypominać, aby otwierał oczy, gdyż może z przyzwyczajenia, a może i umyślnie, bo świat wcale nie jest taki wspaniały, jak wyobrażenie o nim, wyciąga ręce i idzie po brajlu.

Jego konsekwentne wzbranianie się przed oglądaniem rzeczywistego świata wcale nie jest takie niezrozumiałe. W czasach obecnych chciałoby się czasami zacisnąć powieki mocno, bardzo mocno, aby morze płomieni rozbłysłe wskutek silnego uderzenia za powiekami pochłonęło jaskrawe, bijące kolory: bronzowo-czarne, czerwone, białe, żółte i cały świat zatonął w łagodnym, beznamiętnym mroku; aby czułe koniuszki oglądających palców nie rozpoznawały w rysach twarzy wrogich ras i odmienności plemion, tylko czoło, oczy, policzki, nos, uśmiechnięte usta, jak zwyczajnie u ludzi. Aby oręż i karabin były tylko symbolem czegoś chłodnego i gładkiego; aby można było szeroko rozewrzeć ramiona i uśmiechnąć się przytem bezbronnie, słodko i ufnie, tym swoim uśmiechem ociemniałego, wchłonąć w siebie cały ogromny, tajemniczy i dobry świat — po niewidomemu.

Sydonja Amarant

KORESPONDENCJA

GŁOS NIEZNANEGO CZYTELNIKA

Do redaktora „Sygnałów"

Poprzez wciąż narastającą warstwę ciemnoty i średniowiecznego wstecznictwa; poprzez duszące opary i mgły, wydobywające się z politycznych tyglów, w których różni „zbawcy narodów" usiłują odświeżyć odrzucone dawno hasła i formy; poprzez zaciemniającą słońce, nieprawdopodobnie grubą warstwę głupoty i chamstwa, przebija się coraz częściej jasny promień światła. Duch podeptanej brutalnie ludzkości, głos sprofanowanych wiekowych ideałów odzywa się w nas wówczas potężnym echem, by podtrzymać w nas wiarę w istnienie kultury, która nie runęła i nie runie, pomimo, że ponad nią przelewają się fale powrotnego barbarzyństwa.

Szerokiem echem odbija się i otuchą napełnia każdy głos szermierza wspólnych ideałów, wzmacnia głos odważnego człowieka, wypowiadającego się po stronie postępu, buntującego się jawnie przeciwko panowaniu barbarzyństwa.

Nie każdy ma możność, nie każdy ma dane ku temu, żeby głośno, publicznie móc wypowiadać swoje zdanie. Nie każdy potrafi myśli swe i ideały takiemi wyrażać słowami, by mógł rzucać je w wir publicznych dyskusyj. Powołani do tego są ludzie, którzy w naszych oczach, „zwykłych śmiertelników", są ludźmi wielkimi — powołani do tego są w pierwszym rzędzie nasi pisarze i publicyści. Na nich częstokroć kieruje się nasz wzrok, od nich oczekujemy mocnych słów, broniących postępu i wypowiadających walkę wszelkiemu okrucieństwu i wstecznictwu. Toteż tchórzami są w naszych oczach ci, którzy boją się głośno wypowiedzieć i unikają publicznego wyrażania swoich poglądów. A już zgoła nikczemni są ci, którzy kupczą swemi ideałami, którzy najchętniej płyną bez oporu na potężnej choć mętnej fali możnej w danej chwili „ideologji". Tem bardziej pełni uznania jesteśmy dla tych, którzy nie idą po linji najmniejszego oporu i rezygnują z chwilowych, wątpliwej zresztą wartości, zaszczytów, buntują się przeciwko nikczemnej rzeczywistości dzisiejszej i walczą odważnie o sprawiedliwość społeczną i szacunek dla sponiewieranej godności człowieczej. To są jasne promienie, które poprzez ciężkie chmury, zaciemniające nasze życie społeczne i kulturalne, ślą otuchę i podnietę wielkiej rzeszy bezimiennych szermierzy — cichych bojowników lepszego jutra ludzkości.

Artykuły Hulki-Laskowskiego. tchnące wielkiem umiłowaniem człowieka i szczerą troską o jego byt duchowy i fizyczny, stanowią bardzo poważną pozycję w tych zmaganiach. Hulka-Laskowski wkłada w swoje wypowiedzi tyle niezachwianej wiary, tyle przekonywającej argumentacji, tyle żywego temperamentu i szczerych, mocnych uczuć, że czytanie ich pokrzepia i podnosi na duchu.

Artykuł Hulki-Laskowskiego pt. „Dzieło literackie" („Sygnały", nr. 32) szczególnie silnie przemawia do czytelnika. W wąskich, zdawałoby się, ramach artykułu potrafił autor oświetlić cały kompleks zagadnień społeczno-literackich i wskazać jedyną drogę, która z literatury, będącej często tylko rozrywką snobizującej elity, uczyni codzienną potrzebę szerokich mas. Droga ta wiedzie przez dogłębne wniknięcie twórczości literackiej w szarą codzienność, przez powiązanie jej z wartkim nurtem problemów społecznych, tak nieodłącznie towarzyszących dzisiaj wszelkim przejawom naszego życia.

Ileż w tym artykule buntu przeciwko dzisiejszej rzeczywistości, ile kultu dla ludzi odważnych i wnikliwych, ile pogardy dla tak modnego dzisiaj „glajchszaltungu", ile zrozumienia dla ludzkiej niedoli i poniżenia.

Zakłamana rzeczywistość dzisiejsza stara się oddzielić zagadnienia społeczne od literatury. Jakże to jednak możliwe, kiedy codzienny wir naszego życia wyciska na każdym kroku piętno troski o naszą strukturę społeczną? Dlatego też literatura nie może odbiegać od życia, nie może pomijać najważniejszych w dobie obecnej zagadnień społecznych.

Szary człowiek podnosi głowę. Szary człowiek, którego chciano zepchnąć do roli robota, wbrew woli „elity" wkracza na należne mu miejsce ze świadomością swej roli i znaczenia w społeczeństwie. Nie pomogą tu żadne polityczne sztuczki i łamańce, szary człowiek budzi się, przeciera oczy — wszak to on tworzy rzeczywistość, ale tę prawdziwą, nie tę zakłamaną. I oto najważniejsze zadanie literatury. Pisarz, jak mówi Hulka-Laskowski, rejestruje jedynie to, co się już dawno w życiu dokonało. Dzięki pisarzowi właśnie, dzięki jego wnikliwości i spostrzegawczości oraz umiejętności rejestrowania, możemy dopiero poznać życie i odnaleźć rolę, jaką w nim odgrywamy. Dlatego też dzieło, którego autor zajrzał w jeden z tysiąca zaułków naszego życia, otarł się bezpośrednio o dolę i niedolę człowieka i potrafił to odczuć i zarejestrować, może, jak słusznie twierdzi Hulka-Laskowski, liczyć na poczytność. Mamy tego dowody nie tylko w dziełach obcych literatur. Nietylko Ange Seidler, Munthe czy inni wymienieni i niewymienieni przez Hulkę-Laskowskiego pisarze obcy wkroczyli na właściwą drogę. Są nareszcie i u nas twórcy, którzy potrafili znaleźć właściwy temat i właściwe ujęcie. Czyż klasycznym przykładem tego nie są takie dzieła, jak „Sól ziemi" czy „Zmory"? A czyż wśród młodych naszych pisarzy nie znajdujemy podobnych? Czyż Kruczkowski, Kowalski, Wasilewska lub Dąbrowska w „Rozdrożu" nie rozchylili śmiałym, odważnym ruchem ciężkiej zasłony, ukazując nam straszną rzeczywistość naszej wsi, tego najbardziej zaniedbanego przez literaturę odcinka życia? A czy Gojawiczyńska, Górska lub Czuchnowski nie wkraczają w swych powieściach na właściwą drogę, jaką życie wskazuje literaturze? Czyż ci pisarze nie zerwali z systemem tanich efektów, wkładając wzamian za to w swoje prace moc szczerego uczucia, moc serca? Czyż to nie są na szeroką już skalę zakrojone próby odtworzenia rzeczywistości polskiej? Najważniejsze jest to, że czytelnik, czytając dzieła wymienionych pisarzy, odczuwa, że są one właśnie, jak mówi Hulka-Laskowski, wytworem szlachetnego charakteru, a nie próżnej i głupiej ambicji.

Czasy dzisiejsze znamionuje ogromna kontrastowość na wszystkich odcinkach kultury. Szczególnie charakterystyczne są kontrasty, jakie obserwować można na polu kultury duchowej. Przytłoczony, bezlitośnie tłamszony, deptany brutalnie duch ludzki wybucha coraz częściej w różnych miejscach jasnym, żywym płomieniem. Obok bezmyślnych, okrutnych wytworów najczarniejszych instynktów ludzkich mamy wspaniałe wytwory niezależnego. wolnego ducha ludzkiego, wspaniałe porywy kierowane szlachetnemi uczuciami i pełnem zrozumieniem odpowiedzialności, jaką na ludzkość nakłada wielowiekowa kultura. Znajduje to już dawno swój wyraz w europejskiej twórczości literackiej. Wszystkie znaki zdają się wskazywać, że i u nas w ostatnich czasach twórczość literacka znajduje się na ostrym wirażu, z którego droga prowadzi prostą linją na szeroki gościniec życia polskiego.

Coraz więcej młodych sił powiększa szeregi naszych pisarzy. Z masy bezimiennych, rwących się do pióra, razporaz odrywa się nowy talent, zdobywając sobie zasłużoną sławę. Wielu z nich wzrasta na nizinach i w zaułkach naszego życia, kształtując swój talent wśród znojów i trudów codziennych — to jest ich największym atutem. Jest jednak wśród bezimiennych talentów wielu takich, którym brak wiary w swoje zdolności, są też tacy, którzy niefortunnie postawiwszy pierwszy krok, zniechęcają się do dalszej pracy. Dla tych wszystkich nieocenionym wprost bodźcem są takie głosy, jak omawiany artykuł Hulki-Laskowskiego.

W nas, nieznanych czytelnikach, wprost dziecinne uczucie radości wzbudza objaw, świadczący o tem, że nasza kultura nie rozpłynęła się jeszcze w mrokach średniowiecznego wstecznictwa. Każdy taki płomyk chciałoby się rozdmuchać do rozmiarów pożaru. Każde pismo, każdy artykuł, każde dzieło, każde oświadczenie jest nam bezcennie drogie. A jest nas zapewne wielu, bardzo wielu, tylko bezczelny tupet tamtej strony, straszliwy hałas i jazgot towarzyszący zwykle barbarzyńcom, mogą stwarzać pozory, że jest nas jedynie garstka.

Henryk Lewkowicz (Niechcice)

NARUSZENIE PRAW AUTORSKICH

Do redaktora „Sygnałów"

Jestem zmuszony do obrony swoich praw autorskich, które naruszył redaktor tygodnika satyrycznego „Szpilki", p. Zbigniew Mitzner. Cała sprawa kwalifikuje się właściwie do sądu i tylko stanowisko p. Mitznera, który jest redaktorem dziennika socjalistycznego „Dziennik Ludowy" i demokratycznego tygodnika „Szpilki", powstrzymuje mnie od wytoczenia procesu, ze względu na obecną sytuację, w jakiej znajdujemy się wszyscy.

Niemniej są pewne metody, o których nie można milczeć.

W nr. 41 „Szpilek" ukazała się kolumna fraszek-zagadek literackich mojego pióra. Tekst tego konkursu został wbrew mojej woli zniekształcony, pozatem p. Mitzner nie wydrukował czterech fraszek, które były mu nie narękę, pomimo, że zgodziłem się na wydrukowanie tych fraszek tylko w całości i że wycofałem materjał. W ten sposób p. Mitzner pogwałcił prawa autorskie i okazał maksimum złej woli w stosunku do stałego i lojalnego współpracownika.

Sprawa miała bieg następujący. Wspomnianą kolumnę fraszek wysłałem do redakcji „Szpilek" z Zakopanego. P. Mitzner wstrzymał się z drukiem tej kolumny do czasu mojego powrotu do Warszawy. Tu oświadczył mi, że zmuszony jest poczynić pewne zmiany w materjale, a kiedy się na to nie zgodziłem i zażądałem wycofania tego materjału, p. Mitzner wyraził na to zgodę. W kilka dni później oświadczył mi, że sam musiał zmienić tekst konkursu i usunąć niektóre fraszki „spowodu braku miejsca". Uczynił to wbrew obietnicy, że materjał wycofa.

Zgodziłem się na poczynienie zmian i skrótów, ale tylko w porozumieniu ze mną, do czego, jako autor, jak sądzę, miałem pełne prawo. P. Mitzner umawiał się ze mną kilka razy, ale ani razu nie przyszedł na spotkanie, nie posłał mi korekty, pomimo, że przez cały tydzień miał na to dość czasu i że obiecywał mi to nieustannie. Nie pomógł również list, którego odpis zachowałem, a w którym raz jeszcze kategorycznie sprzeciwiłem się wszelkim poczynionym beze mnie zmianom i wręcz zagroziłem sprawą sądową o pogwałcenie praw autorskich. W rezultacie p. Mitzner skorzystał z tego materjału własnowolnie, wprowadzając w nim zmiany na własną rękę.

Ten list jest jedyną bronią autora, którego prawa zostały zlekceważone. Zmuszony jestem podać te praktyki p. Mitznera do wiadomości publicznej, napiętnować je raz jeszcze i ostrzec zarazem wszystkich współpracowników „Szpilek" i „Dziennika Ludowego" przed tego rodzaju i innemi jeszcze, o których pisać nie chcę, metodami.

Tadeusz Hollender (Warszawa)

NIEZROZUMIAŁE POSTĘPOWANIE

Do redaktora „Sygnałów"

Nie jestem karany, nigdy nie byłem w więzieniu. Teraz policja przeprowadza u mnie rewizje i przytrzymuje mnie przez 48 godzin. Człowiekowi nie chce się żyć. Ostatnio, dnia 6 października b. r., w czasie rewizji zakwestjonowano mi następujące pisma: „Światło", „Głos kobiet", „Tydzień Robotnika" i „Sygnały", 3 pocztówki z wystawy paryskiej, książkę Jerzego Boreiszy „Hiszpanja" i jeszcze parę pism legalnych. To wszystko ma świadczyć, że uprawiam działalność antypaństwową. Za to też policja stosuje represje i uważa, że należę do Komunistycznej Partji Polski. Nie mam możności innej obrony i proszę o ogłoszenie tego listu.

Z. Foksowicz (Mińsk Mazowiecki)

BŁĘDY ZECERSKIE

Do redaktora „Sygnałów"

Do mojego artykułu „Realizm chrześcijański" („Sygnały", nr. 34), wkradły się cztery nieprzyjemne błędy zecerskie:

1. Na str. 5, szpalta 2, wiersz 18, oddołu — jest: takie, powinno być: **także**;

2. na str. 6, szpalta 1, wiersz 1—2, oddołu — jest: międzynarodowych, powinno być: **międzywarstwowych**;

3. na str. 6, szpalta 3, wiersz 23, oddołu — skreślić słowo **nie** w zdaniu: „...które nie mogą być urzeczywistnione";

4. na str. 7, szpalta 1, wiersz 6, oddołu — jest wielkiego, powinno być: **wszelkiego**.

Zygmunt Jarosz

*

M. St. L. Warszawa. Recenzję z tej książki już drukowaliśmy.

Jotes. Jasło. Ze zrozumiałych względów artykuł nie może być umieszczony.

An-cza. Drukujemy. Prosimy o pamięć.

Dr. Med. Warszawa. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. Nadesłany materjał wyzyskamy. O Berwińskim ukaże się w jednym z najbliższych numerów artykuł, omawiajacy monografję Terleckiego.

Abr. R. Warszawa. Artykuł „Ambicja ideału" jest bez sensu i źle napisany po polsku. Należy wpierw dużo się uczyć i czytać.

M. O. Falenica. Wiersze nie do druku.

K. P. M. Warszawa. Wiersze nie do druku.

A. L. B. Cieszyn. Mimo szlachetnej treści wiersze nie posiadają wartości literackiej

E. Dz. Ochmanów. Dziękujemy za miłe słowa. Prosimy o przysłanie zamkniętego fragmentu, w przyszłości umieścimy.

A. St. Lwów. Prosimy o przysłanie do wyboru kilku opowiadań.

E. F. Lwów. Odpowiemy listownie.

Cz. C. Warszawa, H. H. Warszawa, T. Kr. Warszawa, Z. P. Warszawa. Odpowiemy w następnym numerze „Sygnałów".

W. J. Z. Warszawa. Nadesłany fragment nie do druku. Prosimy o inny.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

WIELKI KONKURS POETYCKI

I DOKŁADNY PRZEBIEG

PROCESU PRASOWEGO „SYGNAŁÓW"

PRZEGLĄD PRASY

Światło (nr. 10, październik). Na wstępie część pierwsza interesującego artykułu A. Ciołkosza „Wieś małopolska". Autor stara się znaleźć przyczyny historyczne i społeczno-polityczne niedawnej akcji strajkowej chłopów. W zaborze austrjackim wywalczyli chłopi prawa polityczne, które zniszczono w erze pomajowej. Chłop małopolski jest uświadomiony i wie, czego chce. — K. Czapiński przedstawia poglądy trockistów na sytuację w Z. S. R. R. i rolę Stalina. — L. Ron widzi główne niebezpieczeństwo wojny we Włoszech i Niemczech. „Jedynie zwarty front państw demokratycznych Europy i U. S. A., prowadzący zdecydowanie pokojową politykę, może uratować świat przed koszmarem nowej wojny totalnej i błyskawicznej, która zniszczy cywilizację europejską i przeleje oceany krwi ludzkiej".

Wiedza i Życie (z. 8—9). K. Górski pisze o Stanisławie Krzemińskim, ciekawym i godnym uwagi człowieku i pisarzu z drugiej połowy XIX w. — Fl. Znaniecki przedstawia rolę społeczną artysty. — W. Husarski szkicuje życie i twórczość Rembrandta. — J. Bleiberg umieszcza pierwszą część swojej pracy p. t. „Wizerunek własny Kartezjusza". Minęło 300 lat od wydania „Rozprawy o metodzie". „Rozprawa jest „najmiarodajniejszem, bo najbardziej bezpośredniem źródłem do poznania genezy poglądów filozofa, nieomylnym przewodnikiem po rozległej krainie jego filozoficznej i naukowej twórczości". „Rozprawa" ma charakter autobiograficzny i jest jednym z najciekawszych dokumentów w europejskiej literaturze filozoficznej. Kartezjusza cechowała humanistyczna wiara w rozum człowieka; z niej wypływał „filozoficzny" demokratyzm, dopuszczający wszystkich ludzi myślących do uczestnictwa w wielkiem dziele naukowego wyjaśnienia świata. Kartezjusz był „całkowicie bezinteresownym miłośnikiem i poszukiwaczem prawdy dla niej samej, poczytywanej przezeń za najwyższe dobro i najistotniejszy cel życia". — Al. Hertz przedstawia na marginesie książek Gide'a i Citrine'a o Z. S. R. R. genezę i charakter władzy Stalina. Autor pisze: „Obserwując prądy duchowe czasów dzisiejszych, możemy zauważyć regenerację ideałów demokratycznych. Zawodność systemów autorytatywno-totalnych, rozczarowanie się do haseł elitaryzmu i hierarchji, przyniosły odrodzenie myśli demokratycznej. Myśl ta znacznie pogłębiła swój dotychczasowy dorobek, wykazała dużą młodzieńczość i płodność... Ustroje wodzowskie, państwa totalne (autor zalicza do nich również Z. S. R. R. pod władzą Stalina), stały się swego rodzaju żywemi laboratorjami, swego rodzaju stacjami doświadczalnemi, które pozwalają na wyciąganie należytych wniosków. Przyszłość demokracji zależy od tego, czy potrafi ona z wniosków tych wyprowadzić konsekwencje praktyczne".

Nasz wyraz (nr. 7). „Literatura faktów a czytelnik", to temat artykułu A. Polewki. A. Messing pisze o zmarłym niedawno poecie angielskim, Housmanie. Pozatem wiersze i fragmenty prozy młodych autorów.

Skamander (październik—grudzień). J. Wasiutyński umieszcza fragment ze swojej monografji o Koperniku, W. Gombrowicz i A. Rudnicki drukują opowiadania, Fr. Siedlecki daje urywek z pracy o Błoku. Wiersze. J. Tuwima, Św. Karpińskiego, J. Iwaszkiewicza, H. Domińskiego, A. Sowińskiego, St. Gołębiowskiego, J. Brzechwy, St. J. Leca i inne.

Pokolenie (nr. 1). Jest to organ grupy najmłodszych pisarzy lwowskich — jeszcze przebywających na ławach szkolnych. Widać dużo ambicji i szlachetnego wysiłku intelektualnego: szukanie własnej drogi, niepoddawanie się modnym frazesom. Należy tym młodym dać dużo serca i sympatji, aby pracowali i wytrwali. Komitet redakcyjny i zespół głównych współpracowników tworzą: M. Błażewska, E. Csáto, R. Ingarden, L. Kozicki, J. Typrowicz, W. Wondrausch i Kr. Wydrzyńska.

Kamena (nr. 1). Ostatnio literatura polska poniosła trzy duże straty. Przestały wychodzić trzy miesięczniki: „Droga", „Nowa Kwadryga" i „Okolica Poetów". Z pism, poświęcających dużo miejsca poezji, pozostała jeszcze dzielna „Kamena". W ostatnim zeszycie, poza wierszami, znajdujemy artykuły: H. Michalskiego „Cierpienia współczesnych Werterów" i St. Napierskiego „Młodzi poeci poznańscy". „Kamena" dużo miejsca poświęca literaturom słowiańskim.

Epoka, jedno z nielicznych u nas pism demokratycznych, przynosi w każdym numerze bogaty materjał naukowo-publicystyczny. Wszystkie ważniejsze przejawy życia polskiego znajdują oświetlenie w tem pożytecznem piśmie.

K. K.

SONET O ŚMIECHU

(z Heinego)

Śmieję się zawsze, gdy obmierzli gapie
We mnie wlepiają oczy swe baranie,
Śmieję się z lisów, kiedy patrzę na nie,
Jak to złośliwie węszy mnie i sapie.

Śmieję się, kiedy w wyuczonej szkapie
Budzi się dumne sędziów powołanie,
Śmieję się z tchórza, kiedy zdala stanie,
Grożąc mi nożem, który kryje w łapie.

Bo kiedy szczęścia miłych darów trzech
Los nas pozbawia w życiu bardzo wcześnie
I ledwie szczątki ich do stóp nam ciska,

I kiedy serce nam się w piersi ściska
I ściska się i ciąży tak boleśnie —
Jednak zostaje piękny, głośny śmiech.

LEONID FOKSZAŃSKI (SED TAMEN)

Na wyższych uczelniach narodowcy stanowią większość



rys. E. Lipiński

Przygniatająca większość

LECH, CZECH i RUS

(bajeczka dla nieletnich przestępców)

Żyło przed laty w zgodzie trzech
braci imieniem Rus, Lech, Czech.

Każdy z nich z drugim w zgodzie rósł
i się kochali Lech, Czech, Rus.

Lecz nagle, co za dziwny pech:
się pokłócili Rus, Czech, Lech,

się pogniewali Lech, Czech, Rus,
(to historyczny widać mus).

Wciąż jeden chciał, by drugi zdechł,
Rus Czecha prał, a Rusa Lech.

MORAŁ

Dziatki! Przykładem będzie niech
dla was i Rus i Czech i Lech!...

Niech spojrzy Zuzia, Jędruś, Zbyś,
jak wszystko to wygląda dziś...

ANDRZEJ NOWICKI

BALLADA O PRZYJŚCIU MESJASZA

Dwaj panowie z blondbokobrodami
przez ulicę Tajemniczą szli.
— Przyszedł, mówią, tajnemi drogami
rozkaz 3.153.

— Pewien, proszę pana, wolny mularz
już przemycił napewno tę wieść,
Tajnej Radzie śląc Tajny Cyrkularz
nr. 3.156.

— Co pan powi, panie radco, a więc trzebno
Tajny Konwent zwołać, chytra gra.
— Dzisiaj wyślę do wszystkich napewno
listy nr. 142.

— O godzinie 20-tej, prosz pana,
o 20-tej, mówię, minut 5,
musi Tajna być Rada zwołana,
zagrożona jest ojczyzny piędź.

Poradzili coś jeszcze i potem
trwożnie placem Niewiadomym szli.
I już zaraz jechał samolotem
kurjer nr. 123.

Więc na rogu ulicy Bezdennej
o 20-tej właśnie, minut 5,
jakiś człowiek tajemniczy i ciemny
wzniósł nieznacznie zaciśniętą pięść.

Na ten znak z wszystkich bram okolicznych
wychodzili po jednym, po dwóch.
Uformował się pochód uliczny,
zatamował wielkomiejski ruch.

I mówili: — Więc to tak, kolego,
musi zginąć dziś doczesne zło.
I szli groźnie, milczący, gęsiego
na ulicę Tajemniczą 100.

W tymże domu na 9-tem piętrze
zapalono 112 świec
i cytując wersety najświętsze,
otworzono 120-ty wiec.

Wtedy prezes z blondbokobrodami
takie słowa z namaszczeniem rzekł:
— Idzie burza tajnemi drogami,
uratujmy nasz nieszczęsny wiek.

— Wieją, bracia, mistyczne pożary,
a Królestwo Mesjasza daleko.
Więc dlatego wyciągam logarytm
z tajnych głębin XX-go wieku.

Na to zerwał się jeden: — Nas kusi
zły Aryman, nienawistny duch.
I po długiej, burzliwej dyskusji
logarytmem z 122-óch

postanowił Tajny Konwent obalić
zło idące na nieszczęsny świat.
Jeszcze długo logarytmowali
1940 lat.

Tak burzliwy wiec antymasoński
przez 20 blisko wieków trwał.
Długo mówił prezes Hoene-Wroński...
(A z portretu patrzył Jerzy Braun).

JERZY KAMIL WEINTRAUB

DZIEŃ

E. MEZRITZEROWI...

Kiedy świtu krew się wtapia
w czerwień kołdry na tapczanie,
zaczynają się obłapiać
Wielka Pinda z Wielkim Draniem.

Pod jedwabiem, pod atłasem
wrą westchnienia i okrzyki,
te miłosne wygibasy,
te łamańce, te figliki

I tak trudzą się i znoją,
Wielka Pinda aż omdliwa,
i ten tapczan w tym pokoju
jak po sinem morzu pływa.

A w tej łodzi oni leżą,
aż na piasku i muszelkach
wylądują na wybrzeżu
z Wielkim Draniem Pinda Wielka.

W Monte Pindo zaś na plaży
razem będą żreć śniadanie
i przyjemnie będą gwarzyć
Wielka Pinda z Wielkim Draniem.

Bilboneski z ptasim serem,
złoty daktyl spod piramid,
i kawiorek z czarnych pereł,
i kotlecik z brylantami.

Wielka Pinda westchnie czasem,
a gdy krzyki mew ja zbudzą,
Wielki Drań do Wielkiej Kasy
pójdzie forsę pobrać cudzą.

I ten dzień jak noc się prześni...
Na muzyce przy butelkach
znów się ockną równocześnie
z Wielkim Draniem Pinda Wielka.

Na zegarek nad kolanem,
(czy nie czas na obłapianie),
spojrzą razem gdzieś nad ranem
Wielka Pinda z Wielkim Draniem.

Ręce się pod stołem znajdą,
pożądania czułe wzrosną,
aż Draniowi oczy zajdą
jakąś wielką mgłą miłosną.

Zda się dancingowy padół
nagle bzdurny i ponury...
Tak, gdy świat upada nadół,
Pinda z Draniem idą wgórę.

Tak wyniośli, jaśni, prości,
depcąc ludzi na dancingu,
pójdą w nową noc miłości...
Z Wielkim Draniem Wielka Pinda...

TADEUSZ HOLLENDER

NIETOPERZ I DWIE ŁASICE

(Z La Fontaine'a)

Raz zmęczony nietoperz przez pomyłkę zalazł
W mroczną norę łasicy i szybko zrozumiał,
Że ten wróg myszy zje go (a to ciężki ambaras),
Lekceważąc rozsądek i umiar.
„O śmiałku, powiedziała łasica, przychodzisz,
Mimo, że ród twój codzień mej wątrobie szkodzi!
Mysz jesteś! Zrozumiano? Żadnych głupich żartów!
Mysz jesteś! Albo nic nie jestem warta!"
„Łaski, wyjąkał biedaczek,
To nie jest mój stały zawód —
Ja, myszą? Ta wiadomość to złośliwców dzieło.
Istota rządząca światem
Do ramion mi skrzydła przypięła.
Ptak jestem! Vivat bractwo skrzydlate!"
Słowa okazały się dobre
I nasz nietoperz chrobry
Znów ujrzał światło wolności.
Traf zrządził, że dwa dni później
Wpadł nadwyrężając kości
W łasicy norę, którą los z ptactwem poróżnił.
Znów więc po krzyżu spływa chłód śmiertelnej próżni:
Pani domu o gębie przykrej jak tabaka,
Zamierza go spałaszować w charakterze ptaka.
Nietoperz protestuje pełen oburzenia:
„Ja ptakiem? Nieco spojrzeń proszę dla mej skóry!
Niema ptaka bez upierzenia.
Mysz jestem! Niech żyją szczury!
Koty oby wygładził Jupiter ponury".
Tem zręcznem zalet użyciem
Dwukrotnie ocalił życie.
Wielu już było, co się przez przekonań zmianę
Z grożących niebezpieczeństw wykręcali sianem.
Wysoko zajdzie, który, ceniąc piękną szyję,
Woła swobodnie i „Precz!" i „Niech żyje!".

PIOTR KORZUCH

WYROCZNIA

(z Kryłowa)

Drewniany bóg w pagody cieniach stał,
przyszłość odsłaniał wiernej rzeszy,
ku pytającym swe zbawienne rady słał.
Stroskany każdy mógł się tam pocieszyć.

Wdzięczni — liczne wieszali na nim wota,
dymami czadząc go kadzidła;
u stóp składali hojnie srebro, złoto,
obory napełniali bydłem.

Aż raz — o wstydzie, zgrozo! —
bóg natchniony głupstwa same smali,
z mądrości nic, z proroczej pozy:
rady wszystkie — bredni zalew.

Zdębieli wierni. Zdziwienie noszą w oczach.
Kto pojmie, co się stało,
że bóg androny bzdurzyć począł?
Wyjaśnić jednak łatwo sekret cały:

Bóg był wewnątrz pusty. Czuwali tam kolejno
kapłani. I każdy jakoś się wykręcał sianem.
Ale gdy raz zasiadł kapłan — dureń beznadziejny,
zwyczajnym stał się bóg bałwanem.

JAN HUSZCZA

Jubileusz 25-lecia
Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności

Lwów obchodził rzadką uroczystość 25-letniej działalności zasłużonej społecznej placówki Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności. Dzięki rozumnej i przewidującej polityce gospodarczej, zwłaszcza obecnej Dyrekcji, oraz zrozumieniu zadań M. K. K. O. przez Zarząd miasta, zyskała Kasa wielkie zaufanie u szerokich warstw lwowskiego społeczeństwa.

Wkłady oszczędnościowe w okresie ostatnich 13 lat, t. j. od czasu wprowadzenia złotego, dochodzą do około [illegible] miljonów, przyczem same procenty, wypłacone za wkłady, wyniosły około 25 miljonów. a ponadto fundusze rezerwowe dochodzą do 4 miljonów.

Wielką pomocą dla średnich i najuboższych warstw jest Miejski Zakład Zastawniczy, stanowiący jeden z Oddziałów M. K. K. O.

Również nie zapomniał Zarząd Kasy o pomocy społecznej w formie szkoły i sanatorjum dla dzieci w Brzuchowicach, wydając na ten cel corocznie kilkanaście tysięcy złotych, oprócz kosztów wybudowania.

M. K. K. O. należy do największych instytucyj oszczędnościowych w Polsce i cieszy się jaknajlepszą opinją, a jego Dyrektor naczelny, dr. Uhma, jest prezesem ogólnopolskiego Związku Kas Oszczędności

Uroczystość odbyła się w sali Teatru Wielkiego w obecności delegatów z całej Polski, którzy podnosili zasługi i działalność M. K. K. O., wskazując ją jako wzór dla Polski.

Ta piękna uroczystość jest dowodem żywotności Lwowa na polu gospodarczem.

RODOWÓD MASONA

Niegdyś byłem czerwonym klubistą
z Kołłątaja piekielnej Kuźnicy,
aurę Polski mąciłem przeczystą
wzrastającym buntem ulicy.

Wytrząsałem jadowite hasła:
Wolność, Równość, Braterstwo i Polska.
Bladła szlachta nabożna i spasła
i ryczała: zaraza masońska!

I tyjące na carskim jurgielcie
targowickie przedostojne pyski
wyły na mnie: „O płatny agencie
przez warchołów nasłany paryskich!"

Kiedy nadszedł pamiętny listopad,
byłem znowu francuskim przecherą, —
buntem ludu nabrzmiała Europa,
gdym szturmował do bram Belwederu.

Lata szły i szły nowe upadki,
nowe walki, cierpienia i klęski,
ogień buntu dławiły ukradkiem
Targowiczan hufce zwycięskie.

Nieśmiertelny duch Targowiczan
bronił Polski przed zgniłym miazmatem,
gdy był słaby, do patrona krzyczał:
„Ratuj carze - batiuszko, ach! ratuj!".

I ratował car Polskę wytrwale
szubienicą i murem więziennym
przed wegłarzy zbrodniczą kanalją,
przed Zaliwskim, Konarskim, Ściegiennym.

Kiedy walka zeszła w podziemia,
w sztandary czerwone spowita,
nazwa moja znowu się zmienia
i brzmi pięknie: socjalbandyta.

Kiedy potem powstają Legjony
i o Polskę bój znów się zaczyna,
Targowica wyje: „masony
i agenty żydo-Berlina".

Dzisiaj wreszcie, gdy chciałem już spocząć,
po żywotów tak zmiennej fortunie,
przekupili mnie. Zatem ochoczo
działam w „żydo-masono-komunie".

STEFAN FRANK

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja: LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 12

codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 18—19

PRENUMERATA:

roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.

Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

CENY OGŁOSZEŃ:

1 mm szerokości 1 szpalty w tekście 80 gr., za tekstem 60 gr.

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.